

Hal Clement

Zielony świat

(The Green World)

Worlds of If Science Fiction, May 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novella "The Green World" by Hal Clement, first publication in Worlds of If Science Fiction, May 1963, published by Project Gutenberg, February 25, 2020 [EBook #61509].

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Worlds of If Science Fiction, May 1963. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed".

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Zoo może być dosyć przygnębiającym miejscem, może być świetną zabawą, albo może być tak nudne, że umysł broniąc się przed nim, błądzi w zupełnie innych miejscach. Oddając uczciwość Emeraude, Robin Lampert musiał przyznać, że obecny przypadek nie do końca należał do tej ostatniej grupy. Był w stanie utrzymać uwagę na eksponatach. Było to w pewnym sensie zaskakujące; bo chociaż pograniczne miasteczko ma pełne prawo do zbudowania i prowadzenia własnego Zoo, jeśli tylko ma na to ochotę, to trudno oczekiwać, że w takim miejscu będzie ono dobrze działać.

Obecny przykład, trzeba to przyznać, nie zapowiadał się zbyt dobrze. Eksponaty znajdowały się w całkiem zwyczajnych klatkach – zakratowanych dla większych stworzeń, przeszklonych dla mniejszych. Nie podjęto żadnych szczególnych prób naśladowania naturalnego otoczenia. Miejsce to wyglądało tak sztucznie, jak tylko mogły wyglądać goły beton i żelazo. Dla kogoś przyzwyczajonego do luksusów, jakie wielkie miasta Ziemi i jej siostrzanych planet zapewniały swoim zwierzętom, otoczenie tutaj mogło wydawać się wręcz ponure.

Lampert nie miał jednak takiego wrażenia. Nie posiadał wykształconych żadnych określonych standardów dotyczących tego, jak powinno wyglądać Zoo, i prawdopodobnie uznałby próby odtworzenia naturalnego środowiska, za jakąś rozpraszającą stratę czasu. Nie był biologiem i miał tylko jeden powód, aby odwiedzić Zoo w Emeraude: nalegał na to ich przewodnik.

To żądanie było oczywiście w pewnym stopniu uzasadnione. Człowiek, który brał na siebie odpowiedzialność opieki nad Lampertem i jego przyjaciółmi, w dżunglach Viridis, miał prawo domagać się, by jego podopieczni wiedzieli czemu będą musieli stawić czoła. Lampert sam też chciał to wiedzieć, a więc przeczytał sumiennie każdą tabliczkę na każdej klatce, jaką udało mu się dostrzec. Nie były one szczególnie pouczające, poza jednym czy dwoma przypadkami. Większość faktów była oczywista, już po pierwszym spojrzeniu na mieszkańców klatek. Nawet geofizyk mógł stwierdzić, że taki *felodon*, na przykład, był mięsożercą – po tym, jak jedno ze stworzeń obnażyło dosyć przerażający zestaw kłów, ziewając mu prosto w twarz. Tabliczka nie mówiła nic więcej. W zasadzie nawet mniej, niż McLaughlin powiedział im już wcześniej o tych bestiach.

Z drugiej strony, było to wyjątkowo pouczające, gdy przeczytało się, że małe, podobne do salamandry stwory w jednej z oszklonych klatek, były równie jadowite co najgroźniejsze z ziemskich węży. Nic w ich wyglądzie nie zdradzało tego faktu. To właśnie w tym momencie Lampert zaczął naprawdę zdawać sobie sprawę z tego, co tutaj robi.

Był absolutnie dogłębnie poruszony wyjaśnieniami McLaughlina odnośnie liczby, która widniała na sporej części tabliczek. Lampert zauważył ją już wcześniej. Liczba ta na ogół się zmieniała, choć zawsze umieszczano ją w tym samym miejscu, i w każdym przypadku nosiła ślady wielu kolejnych poprawek. Nie miała ona związku z jakimkolwiek znanym Lampertowi systemem klasyfikacji zwierząt, a żaden z paleontologów nie potrafił go oświecić co do jej znaczenia. W końcu zwrócił się do McLaughlina i spytał go o to – nie oczekując jakiejś przydatnej odpowiedzi, gdyż ten człowiek był raczej przewodnikiem niż przyrodnikiem. Jednak wysoki mężczyzna uśmiechnął się niewyraźnie i odpowiedział mu bez wahania.

— To tylko liczba zgonów ludzi, o których wiadomo, że zostały spowodowane przez to zwierzę, w tym roku.

Nie pocieszyła Lamperta zbyttno informacja, że chodzi tutaj o rok *Viridis*, który jest około siedemnaście razy dłuższy od ziemskiego. Dla *felodona* liczba ta wynosiła dwanaście. Nie było to wiele w porównaniu z rocznymi stratami w ludziach, powodowanymi przez tygrysy w Indiach, w dziewiętnastym wieku. Ale ta refleksja nie była szczególnie pocieszająca. Populacja ludzka na *Viridis* była taka mała w porównaniu z liczbą ludności w Indiach.

Lampert uważnie przyjrzał się stworzeniu. Było umiarkowanych rozmiarów jak na drapieżnika – jakieś cztery stopy długości, bez ogona – i wyglądało dosyć niegroźnie, dopóki trzymało zamknięty pysk. Leżało na środku klatki, więc trudno było ocenić długość jego nóg. Nie wykazywało żadnych oznak typowego zachowania, jakie przejawia wiele zwierząt w niewoli, polegającego na chowaniu się pod ścianą lub w kącie, gdy zwierzę odpoczywa; nie było też żadnego niespokojnego krążenia, tak charakterystycznego dla ziemskich wielkich kotów, w podobnych okolicznościach. Po prostu leżało ono i wpatrywało się w Lamperta, tak intensywnie, że nie był pewien, czy jego zimne oczy wyposażone są w powieki, czy nie.

— Nawet w domu nigdy nie lubiłem gadów, ale te stworzenia chyba lubię jeszcze mniej. — Głos Mitsuitei, małego archeologa, wdarł się w zadumę Lamperta.

— Nie pozwól, by Hans lub Ndomi usłyszeli, że wspominasz o tych zwierzętach, w tym samym zdaniu co o gadach — odparł.

— No cóż, za żabami też nie przepadam.

— Obawiam się, że to stwierdzenie również by ich specjalnie nie uszczęśliwiło. One w ogóle nie są płazami.

— Z pewnością są. Mówiono nam wcześniej, że składają jaja w wodzie i przechodzą przez stadium kijanki...

— Powinienem być powiedzieć, że nie są Płazami przez duże P. To znaczy, że nie one należą do rzędu Amphibia, ponieważ, o ile nam wiadomo, nie są genetycznie spokrewnione z odpowiadającym im rzędem na Ziemi. Sulewayo bardzo się wścieka na ludzi, którzy próbują wrzucać stworzenia ziemskie i pozaziemskie do jednej jednostki taksonomicznej. Wydaje mi się, że ktoś kto decyduje w sprawach biologii, zrządził, iż na

Viridis dominujący rząd ma się nazywać Amphibidae. To może drobiazg, jeśli tak uważasz. Ale jestem w stanie zrozumieć, czemu tak się przy tym upierają.

— Mhm. Ja też. Nawet dzisiaj czasami spotyka się ludzi, którzy zadają sobie wiele trudu, by skłonić cię do przyznania, że zarówno w Egipcie, jak i w Meksyku, a także na Regulusie Sześć, budowano piramidy – i wnioskować z tego, że ich twórcy tworzyli coś w rodzaju jednej cywilizacji. Twierdzą, że te stworzenia są płazami, bez dużej litery P, ponieważ czują się równie dobrze, zarówno na lądzie jak i w wodzie. I słownik by mnie poparł. Nie upieram się, że są spokrewnione z tymi z Ziemi – tak samo jak piramidy Majów nie mają, poza geometrią, nic wspólnego z piramidami Egipcjan.

— Ale ja słyszałem...

— Jestem pewien, że słyszałeś, lecz to drażliwy temat. Zachowam otwartość, jeśli chcesz, i przyznam, że jakiś Egipcjanin mógł zostać przewieziony przez Atlantyk i nauczyć architektury Amerykanów, ale nie uważam tej tezy za dowiedzioną. Jak brzmiała ta twoja uwaga – „o ile, nam wiadomo” – w związku z przodkami płazoidów? Powiedziałbym, że oznacza ona chęć zachowania co najmniej tak samo otwartego umysłu, jak w moim przypadku.

— **W** pewnym sensie tak. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek poważnie sugerował, że te stworzenia powstały na Ziemi. Jednakże zagadka, którą mamy tutaj zbadać, nadal pozostaje w mocy. Jakim sposobem mogą istnieć tu formy życia odpowiadające takim, których wyewoluowanie gdzie indziej zajęło dobre pół miliarda lat? Na planecie, która według dowodów geofizycznych nie miała zestalonej skorupy jeszcze czterdzieści milionów lat temu? Ktoś już musiał sugerować, że świat ten został zasiedlony z zewnątrz. Ale z pewnością nie zostało to udowodnione. Nie sądzę też, by ktokolwiek bardzo starał się to zrobić. I ja z pewnością nie będę tego próbować, na planecie o tak dużej radioaktywności, jak ta.

— Myślisz, że to by mogło tłumaczyć bardzo szybką ewolucję?

Lampert wzruszył ramionami i udał się spacerkiem w kierunku następnej klatki.

— Zapytaj paleontologów. Moja opinia nie ma tu zbyt wielkiej wagi.

Mitsuitei skinął głową, ruszył za geofizykiem, po czym odwrócił się do tyłu, by jeszcze raz popatrzeć na leżącego kilka stóp dalej mięsożercę. Ten wpatrywał się w niego beznamietnie.

Wizyta w Zoo była jedną z kilku, które powtarzały się aż do chwili, gdy Lampert, Mitsuitei i obaj paleontolodzy nie byli w stanie zidentyfikować każdego z kilkunastu zwierząt, które miały największy udział w liczbie wypadków śmiertelnych na Viridis. Najwyraźniej McLaughlin nie był jedynym przewodnikiem, który to robił. Zoo było wyposażone w sprzęt umożliwiający przeprowadzenie „egzaminu końcowego”, w czasie którego każde stworzenie, którego zażyczył sobie przewodnik, mogło być pokazane na ekranie telewizora, z zupełnie innych punktów obserwacji niż

te uzyskiwane przed klatkami. Okazało się, że McLaughlina trudno jest zadowolić.

Lampert nie miał mu tego za złe. Wiedział wiele o Viridis, oczywiście. Nie tylko czytał o niej w normalnych materiałach źródłowych, ale to on wykonał znaczną część prac laboratoryjnych na przywiezionych z planety rdzeniach wiertniczych. Jego nazwisko było jednym z tych, które dołączono do raportu podającego prawdopodobny wiek skorupy Viridis. Jednak w tamtym czasie, posiadany przez niego obraz mentalny planety obejmował rozmieszczenie kontynentów, warstw skalnych, występowanie stref naprężeń diastroficznych i tym podobne rzeczy. Kwestia pojawienia się na niej, czy nawet w ogóle istnienia roślin, zwierząt i ludzi, po prostu nigdy nie występowała w jego umyśle, na poziomie świadomym.

Zmieniło się to na krótko przed jego przybyciem tutaj. Tramp, który przywiózł jego i jego grupę na Viridis, musiał przez kilka godzin orbitować wokół niej w swobodnym spadku, podczas gdy jego przestarzałe elementy napędu „stygły”, a pasażerowie mogli badać planetę.

Lampert, co dziwne, był pod takim samym wrażeniem nocnej strony, jak i półkuli oświetlonej przez słońce. Ta ostatnia, z wysokości dwudziestu tysięcy kilometrów, pokazywała dość standardowy układ lądów i wód. Najbardziej niezwykłą rzeczą była prawie idealna jednolitość zabarwienia terenu, jasna zieleń, która wskazywała, lub przynajmniej sugerowała, na niemal całkowite pokrycie szatą roślinną.

Kiedy statek okrążał ciemną stronę, był już znacznie bliżej powierzchni i Lampert spodziewał się dostrzec setki świetlistych iskier i plam, miast oraz miasteczek.

Dostrzegł tylko dwa, i nie był tego pewien. Co do reszty powierzchni, planeta była ogromnym, szaro-czarnym kręgiem, przesłaniającym znaczną część Drogi Mlecznej. Nie był on jednak całkowicie czarny. Jego kontrast z tłem galaktyki zmniejszała poświata w górnych warstwach atmosfery, powstająca w wyniku rekombinacji cząsteczek wody, zdysocjowanych w ciągu dnia przez gwałtowne ultrafioletowe światło Bety Librae. Środek dysku był ciemniejszy niż jego brzegi, gdzie linia wzroku przenikała przez większe ilości świecącego gazu.

Jednakże nawet ten widok, choć niezwykły, nie podzielał na Lamperta tak bardzo, jak brak światła miejskich. Oczywiście, zdarzało mu się już pracować w terenie, w samotnych, dzikich miejscach, ale do tej pory zawsze miał poczucie, że znajduje się na wysepce dzikiej przyrody, mniej lub bardziej otoczonej przez cywilizację. Na Viridis to właśnie te cywilizowane miejsca tworzyły wysepki. I były to bardzo małe wysepki. Nie było tam żadnej znanej rodzimej inteligentnej rasy, zaś osiedla obcych ras, takich jak ludzie z Ziemi, były wciąż nieliczne i daleko położone od siebie.

Lampert był więc przygotowany na troskę McLaughlina o przygotowanie grupy do podróży. Nawet się z tego cieszył, choć pewnie nigdy by się do tego nie przyznał, że obawia się tego przedsięwzięcia. Stwierdziłby po prostu, że miło jest mieć przewodnika, który poważnie traktuje swoje obowiązki.

Nie oznaczało to, oczywiście, że Lampert miał zamiar zrzucić z siebie jakąkolwiek odpowiedzialność. Podobnie jak McLaughlin, uważnie obserwował pozostałych członków grupy, szukając oznak braku cierpliwości lub złego nastroju, które mogłyby stać się załącznikiem poważnych kłopotów, gdyby podróż się przedłużała. Doszedł do pewnych wstępnych wniosków na ten temat, podczas lotu z Ziemi, ale z zadowoleniem zauważył, że najwyraźniej ludzie, którzy byli w stanie wytrzymać swoje przymusowe towarzystwo na trampingowym statku kosmicznym, potrafili również zachować dobry nastrój w środowisku łaźni parowej Viridis.

Sulewayo, oczywiście, od początku wydawał się być pod tym względem bezpieczny. Człowiek, który spędził swe młode lata w lasach deszczowych Konga, gdzie jego przodkowie żyli od pokoleń, idealnie pasował do tej planety. Jego dobry humor był niezwykle stabilny. Lampert podejrzewał, że czasami może być on nawet odrobinę zbyt dobry. Mitsuitei, archeolog, raz czy dwa razy poczuł się urażony niektórymi uwagami młodego człowieka, ale nie do tego stopnia, by Lampert czuł potrzebę wkraczania w to własną osobą. W każdym bądź razie Krendall, prawie dwa razy starszy od Sulewayo, wydawał się być pewnym hamulcem dla swego młodszego kolegi; był przedstawicielem tego samego zawodu, a Sulewayo jako pierwszy przyznałby, że szanuje pracę Krendalla w tej dziedzinie. Biorąc pod uwagę te okoliczności, Lampert uważał, że grupa jest dobrze dobrana.

To, czy będzie w stanie wykonać zadanie, którego się podjęła, to już inna sprawa. W doniesieniach prasowych gładko mówiono o ekspedycji, która miała „raz na zawsze rozwiązać tajemnice Viridis”. Lampert, jak każdy inny naukowiec, doskonale wiedział, że rozwiązanie obecnych tajemnic planety, prawie na pewno odbędzie się kosztem stworzenia jeszcze większej liczby nowych. Nawet przewodnik, który co prawda nie był naukowcem, wyraził podobne zdanie, choć jego opinia opierała się na ogólnym pesymizmie wynikającym z obycia z planetą. Jednakże podjął się on doprowadzić ich do każdego miejsca, do którego będą chcieli dotrzeć; i od tej chwili rozwiązywanie problemów nie będzie już jego sprawą.

Naukowcy, bez względu na to, jakie były ich odczucia co do spraw osobistego bezpieczeństwa, chętnie zabrali się do pracy, co spowodowało szybki postęp w przygotowanym przez McLaughlina treningu, w rozpoznawaniu zwierząt. Innym czynnikiem sprzyjającym takim rezultatom był fakt, że dla takich ludzi jak oni, w Emeraude nie było zbyt wiele do roboty, poza uczeniem się. Miasto wciąż było niewielkie. Posiadało kosmodrom i lotnisko, które nie dostarczały zbyt wielu rozrywek, doki, które mogły bawić przez jakiś czas, ale nie w nieskończoność, oraz magazyny, które zupełnie nie interesowały geologów, paleontologów i archeologów. Nie było tu żadnych muzeów. Liczne okazy minerałów, zwierząt i roślin zbierane na planecie, nieodmiennie od razu trafiały na statki kosmiczne. Jediną rzeczą, jaka im pozostała, było Zoo, które miasto utrzymywało z powodów czysto praktycznych.

W efekcie nie minęło wiele dni, zanim wszyscy czterej naukowcy byli w stanie spełnić wymagania McLaughlina. Sulewayo był odrobinę zirytowany dodaniem przez przewodnika krótkiego dodatkowego kursu na temat jadalnej flory i fauny, ale przyznał, że wiedza ta może okazać się przydatna. Nie ukrywał jednak zadowolenia, gdy McLaughlin w końcu oznajmił, że jeśli o niego chodzi, to podróż może się rozpocząć w każdej chwili.

Cała czwórka po raz kolejny sprawdziła swój ekwipunek – Lampert miał go zdecydowanie najwięcej – i wkrótce potem wszyscy, zadowoleni z tego że ich grupa jest w stanie zarówno żyć jak i pracować w tej łaźni parowej, jaką była planeta Viridis, obserwowali, jak port, wokół którego umiejscowione było Emeraude, kurczy się za nimi w dole i wtapia w resztę linii brzegowej. Po kilku minutach dookoła, przez wszechobecną mgiełkę, widoczna była już tylko niespokojna powierzchnia Green Bay...

Szczęki felodona nagle przestały się poruszać, a jego przednie kończyny wyprostowały się, unosząc w górę łeb z błyszczącymi kłami i odsuwając go od ofiary właśnie dokonanego zabójstwa.

Gdyby był tam jakikolwiek człowiek, nie dostrzegłby ani nie usłyszał niczego niepokojącego, ponieważ kilka mil na zachód stamtąd, burza z piorunami mruzczała niemal nieprzerwanym warkotem, a strzeliste drzewa zasłaniały prawie całe niebo. Mimo to bestia zdawała się wyczuwać coś niezwykłego. Nieustannie skręcała swoją krótką lecz giętką szyję, kołysząc głową na boki, aby to jedno oko i błona bębenkowa kierowały się w stronę dachu dżungli, to drugie. Czasami zastygała w bezruchu przez dłuższą chwilę, a obserwator mógłby przysiąc, że jej miniaturowy mózg zmagał się z jakąś myślą. Jeśli tak było, myśl ta musiała być zarówno niezwykła, jak i nieprzyjemna, gdyż w normalnych okolicznościach nic innego, jak tylko jakaś przemożna siła, mogłaby oderwać felodona od jego posiłku. Obecnie jednak tylne nogi także powoli się wyprostowały i stworzenie stanęło sztywno wyprężone. Przez następną chwilę stało bez ruchu, zrobiło krok lub dwa od zdobyczy i znów się zatrzymało.

Nagle, jakby na przekór jakiemuś impulsowi, zawróciło, opuściło morderczo uzbrojony łeb i wyrwało z padliny potężny kęs mięsa. Potem, jak dziecko pozostawiające słoik z ciastkami gdy zbliża się matka, odskoczyło w zarośla, wciąż połykając swój ostatni kąsek.

Jego prędkość była duża, a nie miał wielkiej odległości do pokonania. Po kilkuset metrach dżungla przerzedzała się do poziomu, w którym widać było niebo, a w niewielkiej odległości dalej bujna roślinność znikała całkowicie, by ustąpić miejsca otwartej plaży. Tutaj stwór zatrzymał się i powtórzył przeszukiwanie półkuli nad głową.

Tym razem zwierzę znalazło to, czego szukało.

Wzdłuż linii plaży, może kilometr w głąb morza, coś przelatywało. Musiało to być coś zupełnie nowego, innego od wszystkiego co felodon kiedykolwiek wcześniej widział, ale w zachowaniu bestii nie było nawet cienia strachu. Zwierzę pewnie stało na plaży, z dala od schronienia

dżungli, doskonale widoczne i zupełnie odkryte z góry. Jego głowa podążała za lecącym obiektem z przerażającym warkotem i grymasem wyszczerzonych zębów – który mógł być, ale nie musiał, normalnym wyrazem głodu stworzenia – nadającym jego obliczu wygląd niemalże ssaczy.

To coś było znacznie większe niż jakiekolwiek latające stworzenia, jakie felodon znał – było nieporównywalnie większe niż on sam. Szczegóły wyglądu tej rzeczy były trudne do rozpoznania w mglistym powietrzu, a i tak niewiele by znaczyły dla mięsożercy. Najbardziej zauważalną cechą obiektu był miarowy, gwizdzący szum, jaki się z niego wydobywał. Widoczne było też coś jakby ruchomego, co mogło lub nie mogło, być skrzydłami. Prawdę mówiąc, rzecz ta była tylko ciemną kropką na tle purpurowo-błękitnego nieba. W tej chwili światło słoneczne nie padało na nią bezpośrednio, gdyż znajdowała się w cieniu czoła chmury burzowej. Być może właśnie to sprawiło, że zwierzę na dole nie poczuło zaniepokojenia inną niezwykłą cechą posiadaną przez obiekt, choć nawet pojawienie się tej ostatniej cechy nie wywołało oznak strachu, gdy w końcu stała się ona widoczna. Nastąpiło to wkrótce po tym, jak latająca rzecz jeszcze bardziej się zbliżyła, gdy znalazła się ona już całkiem blisko. Wysunęła się wtedy z cienia wielkiej chmury i kiedy zielonkawe światło słoneczne uderzyło w nią, oczy obserwującego stworzenia oślepił błysk metalu.

Z pewnością było to coś, czego zwierzę nigdy przedtem nie widziało, gdyż czysty metal na Viridis jest równie powszechny jak na Ziemi, zanim ludzie zaczęli go wydobywać z rud. Viridis miała bogatą w tlen atmosferę i dużo wilgoci, a czyste aluminium czy chrom po prostu nie występują w takim środowisku.

Dziwny czy nie, jednak błysk ten nie wydawał się wpływać na podstawowe poczucie strachu u felodona. Na chwilę się zatrzymał, gdy latająca rzecz z szumem przeleciała na północny wschód; raz tylko spojrzał w stronę miejsca w dżungli, gdzie pozostawił swoją ofiarę – miejsca, z którego dochodziły teraz wymowne dźwięki, zdradzające obecność padlinożerców; zrobił tylko jeden krok w tamtym kierunku. Potem odwrócił się równie gwałtownie, jak kilka minut wcześniej, gdy odchodził od posiłku. Z takim samym zdecydowaniem, z jakim wydostał się z dżungli, ruszył teraz wzdłuż plaży, w kierunku, który obrał wcześniej latający kawałek metalu.

Choć zwierzę poruszało się z dużą prędkością, jednak brzęczenie wkrótce ucichło gdzieś z przodu.

Nie wydawało się to jednak, w żaden sposób zniechęcać czy niepokoić stworzenia; felodon zmierzał dalej, krokiem, który można by określić jako szybki marsz lub wolny bieg, ani przez chwilę się nie wahając, ani przez chwilę nie zatrzymując. Zachowywał kompletne milczenie. Mniejsze stworzenia, które mogłyby go ominąć z dala, gdyby usłyszały jego myśliwski zew, teraz uskakiwały mu niemal spod samych łap. Nie zwracał na nie uwagi, lecz kontynuował swoją wędrówkę, podczas gdy zielone słońce zachodziło w dżungli za jego plecami, po lewej stronie. Fakt, że

jego niedawna ofiara zmieniała się już tylko w szkielet, nie przeszkadzał mu. Być może zapomniał o niej.

II

W kabinie śmigłowca szum był odczuwalny nieco bardziej, ale niewiele bardziej. John McLaughlin, rozłożony w ograniczonej przestrzeni kabiny na tyle wygodnie, na ile pozwalały jego dwa metry wzrostu, rejestrował ten odgłos tylko na początku; po kilku chwilach jednak, kiedy stwierdził, że od czasu gdy opuścił Ziemię zaczęli tam chyba budować lepsze turbiny jonowe, pozwolił swoim myślom zbłądzić w zupełnie innych kierunkach. Nie miały one kompletnie żadnego związku z felodonami; w chwili obecnej zainteresowanie nie było więc obustronne. W dosyć zatłoczonej kabinie znajdowało się wystarczająco wiele materiału do rozmyślań.

McLaughlin nie posiadał wykształcenia naukowego, ale nie był też typem przewodnika, jakiego można było spotkać jeszcze kilka wieków wcześniej, na terytorium Jukonu czy Amazonii. Nie pogardzał ludźmi tylko dlatego, że byli, według jego standardów, żółtodziobami. Wiedział, że każdy z mężczyzn dzielących z nim tę kabinę jest ekspertem w swej dziedzinie, chociaż żaden z nich, pomimo jego szkolenia, nie byłby w stanie przeżyć w dżunglach Viridis dłużej niż jeden dzień. W końcu, po cóż mieliby się uczyć takiej sztuki? Były inne rzeczy, których warto było się uczyć, a kiedy pojawiała się potrzeba odwiedzenia dżungli zawsze można było wynająć McLaughlina. Skoro ta grupa właśnie to zrobiła, to widocznie byli dosyć praktyczną ekipą.

Nie mówili zbyt wiele, co z punktu widzenia przewodnika było dodatkowym atutem. Wiedzieli z góry, co mają zamiar zrobić i nie widzieli sensu w powtarzaniu tego, co już zostało powiedziane wcześniej. Oczywiście, gdyby nie udało im się znaleźć poszukiwanego obszaru, byłoby wiele gadania, którego celem byłby McLaughlin, ale on nie obawiał się tego. Na Viridis znajdowało się niewiele gór, a z tych kilku tam występujących, zdecydowanie największą część stanowiły żużlowe stożki wulkaniczne. Kiedy naukowcy wskazali jako swój cel region pochyłonych gór blokowych lub fałdowych, przewodnik początkowo miał wiele wątpliwości. Zajęło mu trochę czasu zanim sobie przypomniał, że istnieje pewien niewielki obszar odpowiadający tym specyfikacjom, położony niecałe tysiąc pięćset mil od portu kosmicznego w Emeraude. Sam nie był geologiem, ale w wyjaśnieniu mu, czego potrzebują naukowcy, obficie wykorzystano szereg zdjęć oraz diagramów, i był całkiem pewien, że grupa będzie zadowolona z tego, co miał jej do zaoferowania.

Z tej zadumy wyrwało go lekkie kołysanie w dotychczas jednostajnym ruchu helikoptera. Byli już kilka godzin drogi od Emeraude i McLaughlin

zdał sobie sprawę, że powinien bardziej uważać na kurs. Wyprostował się w fotelu i rozejrzał się na zewnątrz.

Na lewo i z przodu, rozciągała się ogromna chmura burzowa, i to otaczające ją prądy powietrzne prawdopodobnie spowodowały perturbacje toru lotu śmigłowca. Co ważniejsze, w zasięgu wzroku znajdował się ląd. McLaughlin wiedział, że ich długi lot przez Green Bay dobiegł końca. Odczekał jednak trochę, zanim cokolwiek powiedział. Przed startem wydał pilotowi dokładne instrukcje co do trasy i chciał się przekonać, czy były one wystarczająco jasne.

Najwyraźniej tak było. Nie zadając żadnych pytań, ani nawet nie spoglądając na przewodnika, Lampert zmienił kurs pojazdu z północnego na taki, który pokrywał się z linią brzegową, wykonując skręt o około czterdzieści pięć stopni w prawo, i śmigłowiec wznowił swój spokojny lot.

McLaughlin jednak nie pozwolił sobie już na powrót do pełnego rozluźnienia. Od tego miejsca szlak robił się nieco trudniejszy do odnalezienia, a nie pozostało im już zbyt wiele godzin światła dziennego. Bezcieńowa nocna poświata, która po zachodzie słońca stosunkowo ułatwiała widzenie, nie nadawała się do nawigacji powietrznej nad słabo odwzorowaną na mapach planetą. Nie spuszczał wzroku z linii brzegowej, wypatrując punktów orientacyjnych, których nie widział już od wielu miesięcy – i to nigdy z góry. Nie zauważył felodona, który tak mocno zainteresował się helikopterem. Gdyby nawet go dostrzegł, nie przywiązywałby wagi do jego obecności, a nie byłby w stanie obserwować jego zachowania na tyle szczegółowo, by wychwycić w nim jakieś osobliwości.

Nikt inny również nie zauważył bestii. Zmiana kursu, podobnie jak w przypadku McLaughlina, wyrwała większość grupy z dotychczasowych myśli i większa część z nich wyglądała przez okna, ale interesowało ich to, co leżało przed nimi, a nie pod nimi. W niedługim czasie względna monotonia dżungli i bagien powinna zacząć zostać przerywana przez wznoszący się teren, wskazujący na bliskość gór, których szukali; a wysokość lotu helikoptera, wynosząca około dwóch tysięcy stóp, była wystarczająco niewielka, aby dało się dostrzec każde znaczniejsze wzniesienie terenu. Sulewayo, młodszy paleontolog, poczynił w związku z tym uwagę, która przeszła bez komentarza. Prawdziwa rozmowa rozpoczęła się dopiero po kilku minutach.

— Jak rozumiem, czeka nas jeszcze jedna zmiana kursu, zanim zobaczymy góry. Czy nie ma tam jakiejś rzeki, za którą moglibyśmy przez jakiś czas podążać, String? — Lampert zadał pytanie, nie oglądając się do tyłu.

— Zgadza się — odpowiedział McLaughlin. — Wpływa do Green Bay prawie prosto z północy, a jakieś sto mil w głąb lądu robi zwrot na wschód. To ogólny jej kierunek. Bardzo się wije.

— I powinna, w kraju niemalże tak płaskim jak patelnia, jak tutaj — mruknął Lampert pod nosem.

— Góry, których szukacie, zaczynają się około sześćdziesiąt mil w linii prostej od tego wielkiego skreśtu. Jeśli wystarczająco ufasz swojemu żyrokompasowi, możesz kierować się w ich stronę bezpośrednio od ujścia rzeki. Jeśli jednak masz wątpliwości, czy będziesz w stanie utrzymać kierunek, lepiej podążać wzdłuż rzeki. Wątpię, czy są jakieś inne dobre punkty orientacyjne. Oczywiście, ja oglądałem te tereny tylko z powierzchni i z pobliża rzeki, ale byłbym bardzo zaskoczony, gdyby w okolicy znalazło się cokolwiek poza tym bagienno-dżunglowym bajzlem, nad którym się obecnie znajdujemy.

— Ja również. Pozostaniemy w zasięgu wzroku od rzeki, ale skreścimy tak daleko na wschód, na ile pozwoli nam widoczność.

Przewodnik zaaprobował ten plan skinieniem głowy, a rozmowa ucichła na kilka minut. W końcu ciszę ponownie przerwał Sulewayo.

— Mam nadzieję, że na tych wzgórzach, których szukamy, będzie coś ciekawego. Ta planeta to jest chyba najbardziej monotonna, ze wszystkich które widziałem. Wszędzie gdzie nie ma dżungli, jest bagno; a jedyna różnica między nimi polega na tym, że w dżungli rosną wyższe drzewa.

Twarz McLaughlina zmarszczyła się w czymś na kształt uśmiechu, i ponownie rozsiadł się wygodniej.

— Jest jeszcze jedna różnica między nimi — zauważył.

— A na czym ona polega?

— W dżungli, ubrany i wyposażony tak jak teraz, mógłbyś przeżyć mniej więcej jakiś jeden dzień. Na bagnach, nawet pięć minut byłaby to optymistyczna prognoza.

Sulewayo popatrzył w dół na szorty i buty, które stanowiły jego strój, i wzruszył ramionami.

— Przyznaję ci tu rację, ale nie spodziewam się, że wyjdę w teren w taki sposób. To, w co faktycznie będę ubrany i co będę nosił, oprócz mojego profesjonalnego ekwipunku, zależy od ciebie. Poza tym, chodziło mi o wygląd. Beta Lyrae Dziewięć wyglądała z góry niemal tak samo nieciekawie jak ta planeta i założę się, że jest ona co najmniej tak samo zabójcza, gdy dotrze się na jej powierzchnię.

McLaughlin nigdy nie odwiedził Nowego Piekła, i przyznawał się do tego, ale trzeba było czegoś więcej, by powstrzymać Sulewayo.

— Właściwie to mam nadzieję, że te wzgórza nie okażą się tak mocno pokryte glebą, że jakiegokolwiek skamieliny będą w najlepszym wypadku osiem metrów pod ziemią. Czy przypominasz sobie może jakieś miejsca, gdzie byłyby odsłonięte same warstwy skalne - strome klify, czy może głębokie wąwozy strumieni?

— Zdecydowanie tak. To pasmo przecina, albo się w nim zaczyna, duża rzeka. Wypływa ona z kanionu podobnego do kanionu Kolorado na Ziemi, choć o wiele mniej spektakularnego. Właściwie, to nie wiem nic o kraju położonym dalej niż kilka mil, w górę tego kanionu. Zatrzymały mnie bystrzyny na rzece i nie mogłem wyciągnąć mojego amfibii na żaden z brzegów. Przez większość czasu tam po prostu nie było żadnego brzegu, tylko skalne klify.

— Całkiem niezły prąd, jak przypuszczam? — wtrącił Lampert.

— Prawdę mówiąc, to nie bardzo. Pływałem w gorszych, na Ziemi.

— **T**o niezbyt pasuje do stromych klifów i rzeki przecinającej pasmo górskie.

McLaughlin wzruszył ramionami.

— To ty jesteś geologiem. Sprawdź to sobie sam. Może po prostu będziesz musiał dodać to do listy rzeczy, których nie rozumiesz, na temat Viridis.

— Masz rację. — Komandor-pilot, geofizyk skinął głową. — Nie miałem zamiaru sugerować, że nie podajesz dokładnych informacji; ale sytuacja, którą opisałeś byłaby nieco dziwna na większej liczbie planet niż Ziemia, zapewniam cię. Mimo to, przy odrobinie szczęścia, na tych twoich klifach pojawią się jakieś skamieliny. Może uda nam się rozwiązać jeden problem w zamian za stworzenie drugiego. Życie mogłoby być gorsze.

— Miejmy tylko nadzieję, że nie rozwiążemy pierwszego z nich udowadniając, że pewni geofizycy wygadywali głupoty — zauważył dotychczas milczący Krendall.

— Co?

— Co byś zrobił, gdybyśmy znaleźli kawałek, powiedzmy, pegmatytu z radioaktywnymi inkluzjami, który liczyłby sobie pół miliarda lat, zamiast trzydziestu kilku milionów, któreście wy, chłopcy, podawali nam jako skalę czasową dla tej kuli błota?

— Musiałbym bardzo dokładnie sprawdzić w jakich okolicznościach i w jakim miejscu to znalazłeś. Gdyby okazało się to konieczne, przyznałbym, że problem zniknął. Pół miliarda lat dosyć dobrze odpowiadałoby stanowi ewolucji form życia na tej planecie, choć w rzeczywistości na Ziemi osiągnięcie podobnego poziomu, zajęło znacznie więcej czasu. Szczerze mówiąc, nie spodziewam się jednak takiego znaleziska. Rozmieściliśmy nasze odwierty raczej dosyć starannie i powinniśmy byli otrzymać całkiem reprezentatywne próbki.

— Jestem pewien, że tak było. Jeśli wasze wyniki są prawidłowe, oznacza to tylko, że problem należy do Hansa i do mnie – i lepiej niech String znajdzie nam tu całe mnóstwo skamieniałości.

— Będziesz musiał sam sobie szukać tych swoich kości — odpowiedział McLaughlin. — Ja zabieram was na taki rodzaj terenu, jakiego chcieliście. Te wasze skamieliny musiałyby wbić mi zęby w twarz, zanim bym je rozpoznał – a i wtedy pewnie najpierw bym strzelał, zanim zorientowałbym się, że już są martwe.

— Dobra, dobra — zachichotał Sulewayo. — Ty zajmiesz się szybkimi, a Krendall i ja będziemy się martwić o martwych. Dr Lampert może obliczać, jak stare są skamieliny, jeśli jakieś znajdziemy, a Take poszuka sobie jakichś kamiennych toporków.

— Albo samochodów, kawałków rakiet z silników kosmicznych, czy też innych artefaktów — Mitsuitei odpowiedział na zakres sugerowanych wykopalisk. — Ja planuję siedzieć wygodnie, z założonymi rękami, chyba że któryś z was znajdzie czaszkę, mogącą pomieścić więcej niż pół uncji mózgu. Zamierzam zachowywać się bardzo nienaukowo. Uważam, że na

tej planecie nie ma nic do roboty dla archeologa i nie zamierzam się nawet trudzić, aby udowodnić, że się mylę.

— Wyrobiłeś sobie opinię na dosyć wczesnym etapie gry — zauważył Lampert. — Pomimo wszystko, jak do tej pory, zbadana została zadziwiająco mała część tej planety. Dlaczego na nieznanach obszarach, takich jak te, które mamy zamiar odwiedzić, nie miałyby istnieć jakieś ślady zamieszkania?

— Ponieważ, pomimo że większość planety pozostaje niezbadana, bardzo duża liczba miejsc, które powinny dostarczyć śladów zamieszkiwania, nie potwierdziła tego. Zbadaliśmy wiele miejsc, które idealnie nadawałyby się lub nadają, na miasta oparte na handlu oceanicznym, centra rynkowe dla obszarów rolniczych lub porty kosmiczne. Po pewnym czasie dochodzi się do punktu, w którym takie znaleziska można przewidzieć z pewną dozą pewności. Jak już mówiłem, daleko mi do pełnej pewności i byłoby bardzo nierozsądne gdybym tak twierdził; ale na obszarze, którego poszukujemy, nie widzę powodu, aby spodziewać się czegoś interesującego dla mojej profesji.

Lampert wzruszył ramionami i ponownie skupił całą swoją uwagę na sterach. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, uwydatniając coraz wyraźniej nierówności terenu, w miarę jak wydłużały się ich cienie. Nierówności te były jednak nadal nieliczne, a dach dżungli pozostawał w większości równomiernie oświetlony. Tak jak McLaughlin się spodziewał, nie było tu niczego, co można by wykorzystać jako punkt orientacyjny. Na swój sposób las był tak samo pozbawiony cech charakterystycznych jak ocean. Pilot nie spuszczał wzroku z rozciągającego się przed nimi terenu, spodziewając się rzeki, której przewodnik kazał im szukać; i wkrótce ją dostrzegł. Odbijając kolor lekko purpurowego nieba, całkiem nieźle wyróżniała się na tle szaro-zielonej dżungli, gdy tylko znaleźli się wystarczająco blisko niej, by przebić się wzrokiem przez wszechobecną mgiełkę.

Po tym jak McLaughlin skinął głową z cichą aprobatą, Lampert skręcił śmigłowcem w lewo i ruszył bardziej na północ, kierując się stopniowo w stronę rzeki. Dżungla nabrała teraz nieco więcej cech charakterystycznych, choć nadal nie było w niej widać żadnych miejsc, które mogłyby posłużyć jako wskazówki terenowe. W dosyć częstych odstępach czasu, pomiędzy drzewami znajdującymi się bezpośrednio pod nimi, pojawiały się błyski wody. Najwyraźniej do większej rzeki wpadały liczne dopływy, ale żadnego z nich nie dało się dostrzec nawet z najbliższej odległości. W przeważającej części były one tak wąskie, że drzewa rosnące po obu brzegach stykały się ponad nimi.

— Sądzę, że znaczną część tego terytorium można by pokonać łodzią — zauważył Mitsuitei po blisko pół godzinie lotu w nowym kierunku.

— Potrzebna by była amfibia — odparł przewodnik. — Łódka jest w porządku w głównym nurcie rzeki, ale wszystko co wpływa z boków jest takie płytkie, że przy pomocy niczego innego nie uda się wdrzeć w te

dopływy na jakąś poważniejszą odległość. Próbowałem eksploracji większości z nich w mojej własnej starej łajbie. Za każdym razem musiałem czołgać się, a nie pływać, kiedy znalazłem się ledwie milę od rzeki.

— Jak wygląda podłoże? Bagno?

— Nie, na przeważającej części terenu jest dosyć twardo. Jeszcze tego zbyt dobrze nie widać, nawet przy tak nisko położonym słońcu, ale wszędzie tutaj, ogólnie poziom gruntu powoli się wznosi. Niedługo zobaczymy już te wasze góry.

Ta deklaracja przyciągnęła do okien wszystkich członków grupy, wszystkie pięć par oczu zaczęło przepatrywać teren widoczny w dole i przed nimi. Meandrująca rzeka znajdowała się teraz na lewo od nich, ale przez mgłę można już było dostrzec skręt koryta na wschód, który przepowiadał McLaughlin. Lampert skierował się nieco bardziej w prawo, próbując ściąć ten zakręt, ale mimo tego manewru śmigłowiec dotarł do krętej czerwonawej wstęgi wody, zanim góry pojawiły się w zasięgu wzroku. Latacz z szumem poleciał dalej.

Smugi światła słonecznego przedostające się przez boczne iluminatory padały już prawie poziomo, gdy skręt na wschód je uciął. Nie musieli jednak daleko lecieć, kiedy McLaughlin wydał z siebie zadowolony pomruk i skinął głową do przodu. Pozostali podążyli za jego spojrzeniem.

Prosto przed nimi niewiele było widać z powodu znanego każdemu lotnikowi zjawiska „jasnej plamy” – pozbawionego cieni obszaru bezpośrednio naprzeciwko słońca, skupionego wokół cienia lecącego pojazdu. Jednakże po obu stronach, obiecane wzgórza wyrastały z dżungli na wysokość przekraczającą aktualny poziom lotu helikoptera. Przypuszczalnie kanion, z którego miała wypływać rzeka, leżał dokładnie na ich kursie. Tak w każdym razie, uważał Lampert; a McLaughlin go popierał.

— Od tego miejsca leciałbym już dosyć wolno — dodał przewodnik. — Po tej stronie pasma znajduje się wiele wzniesień. Nawet jeśli nie boisz się, że na któreś z nich wpadniesz, możesz chcieć je zbadać pod kątem występowania odsłoniętych skał.

— Czy nie lepiej byłoby znaleźć jakieś miejsce na postój, przed zachodem słońca? — kontrargumentował pilot.

— Możemy. To, co powiedziałem, jednak nadal obowiązuje. Nie macie zbyt wielu szans na znalezienie lądowiska wewnątrz kanionu bez dosyć długich poszukiwań, a najlepiej będzie pozostać do wschodu słońca, po tej stronie pasma. Pamiętaj o moich kłopotach ze znalezieniem wyjazdu z rzeki dla amfibii, gdy byłem w środku kanionu.

— W porządku. Czy możemy jednak lądować w dżungli?

— Nie, chyba że chcesz złożyć łopaty w locie i spaść ostatnie dwadzieścia do pięćdziesięciu stóp. Rozglądaj się za jakimś dosyć wysokim wzgórzem. Zwykle są one nieco bardziej puste na szczycie i będziesz miał przynajmniej miejsce na obracający się wirnik. Jeśli ci się to nie podoba

lub nie będziesz mógł znaleźć odpowiedniego pagórka, wyląduj na rzece i zacumujmy się do brzegu – ale znów, nie próbuj tego w kanionie. Raczej nie znajdziesz tam niczego, do czego mógłbyś się przywiązać.

— Ta maszyna ma dobre światła, przypuszczam, że zdajesz sobie z tego sprawę – ale niech będzie, to ty znasz tę planetę. Jeśli o mnie chodzi, tak jak mówisz, ma być. Czy szanse na znalezienie wzgórza są równie duże po obu stronach rzeki?

— Może trochę lepiej szukać bardziej na północy. Teren w tamtą stronę wyglądał na wyższy, gdy wydostałem się z kanionu.

Lampert posłusznie zmienił kurs śmigłowca nieco w lewo, a wszyscy na pokładzie obserwowali ziemię, która zaczęła się wznosić w ich kierunku.

Początkowo „wzgórza” były jedynie niskimi kopcami, tak samo porośniętymi dżunglą jak niżej położony teren, ale bardzo szybko ustąpiły miejsca wyższym, bardziej stromym wzniesieniom, na szczytach nieco skąpiej porośniętym większymi drzewami.

Szybko zostało wybrane jedno z nich i po krótkim, pytającym spojrzeniu Lamperta na przewodnika, i helikopter zaczął schodzić w dół.

— Lepiej bierzmy to, co mamy teraz — McLaughlin odpowiedział pilotowi głębszym skłonem głowy. — Ten łańcuch wzgórz jest dość wąski, a za kolejną minutę lub dwie, znaleźlibyśmy się w głównym paśmie.

— Czy wie pan, czy zmiana wysokości terenu, po drugiej stronie, jest tak samo ostra, lub czy... — Pytanie Lamperta zostało przerwane przez okrzyk Mitsuitei.

— Rob! Zaczekaj chwileczkę!

Lampert był dobrym pilotem; zwiększenie skoku łopat wirnika pod jego zręcznymi palcami zmieniło opadanie śmigłowca w niemal tak natychmiastowe jego zawisnięcie, jak tylko było to możliwe dla jakiegokolwiek pojazdu w powietrzu. Dopiero gdy skontrolował również dryf poziomy, popatrzył w kierunku, który wskazywał archeolog. Do tego czasu wszyscy inni zobaczyli już, co przykuło uwagę Mitsuitei.

Pomiędzy wzgórzem, na którym zamierzał wylądować Lampert, a rzeką widać było kilka niższych wzniesień. Znajdowały się one teraz prawie bezpośrednio na południe od śmigłowca, a każdy szczegół na nich był uwypuklony w formie plastycznej płaskorzeźby wyolbrzymionej przez cienie, rozciągające się na wschód. To właśnie jednemu z tych wzgórz Mitsuitei przyglądał się z najwyższą uwagą.

Było pokryte dżunglą, tak jak i pozostałe, ale można było dostrzec ciekawą prawidłowość. Drzewa na nim, z tej odległości, wydawały się być zupełnie zwyczajne, ale niektóre z nich górowały nad innymi o dobre trzydzieści lub czterdzieści stóp.

To samo w sobie nie było aż tak dziwne. Cała dżungla była usiana takimi wystającymi kępami. Jednakże na tym wzgórzu te wyższe drzewa wydawały się być posadzone w uporządkowanych rzędach. Widać było pięć gęstych rzędów, ciągnących się mniej więcej z północy na południe, tak że ich długie cienie mocno je wyróżniały. Dzieliły je od siebie odstępy wynoszące może ćwierć mili. Pod kątem prostym biegły do nich inne, mniej wyraźnie widoczne rzędy roślin. Lampert nie był do końca pewien, czy nie są one wytworem jego własnej wyobraźni, gdyż drzewa, które je

tworzyły, wznosiły się niewiele ponad ogólny poziom dżungli. Cały pagórek sugerował jednak coś każdemu człowiekowi, który go zobaczył. Archeolog był pierwszy, który dał wyraz temu wrażeniu.

— To było miasto!

Żaden z obecnych nie odpowiedział. Niektórzy z naukowców musieli pomyśleć, że przeskakuje on od jednej opinii do jej bezpośredniego przeciwiństwa, na podstawie dosyć słabych dowodów; ale ta myśl pozostała niewypowiedziana. Po prostu rozglądali się – z wyjątkiem Sulewayo, który skierował na to miejsce, aparat fotograficzny.

— Rob! Czy możemy tam wylądować? Teraz? — Lampert przewidział to pytanie, ale byłby w stanie odpowiedzieć na nie bez wahania, w każdym przypadku.

— Pewnie – jeśli nie masz nic przeciwko użyciu metody Stringa, polegającej na złożeniu łopatek wirnika i spadnięciu na ziemię.

Archeolog zwrócił się do przewodnika.

— Czy trudno będzie dostać się tam na piechotę z tego wzgórza, na które zmierzamy?

McLaughlin wzruszył ramionami.

— Od dwóch godzin do dnia, w zależności od poszycia.

— Mamy palniki. Możemy wypalić sobie drogę, jeśli roślinność będzie zbyt gęsta.

— W takim razie, pół dnia. I tak dość często będziemy musieli czekać, aż rozproszy się para. Pod drzewami nie ma zbyt wiele wiatru, a powietrze jest przesyczone wilgocią.

— No cóż, to miejsce jest warte poświęcenia więcej niż jednego dnia czyjegokolwiek czasu. Może jutro będziemy mogli...

— Wstrzymaj się na chwilę, Take! — wtrącił się Lampert, zanim Mitsuitei zdążył dalej rozwinąć swój plan. — Jeśli jutro przed startem zabierzesz Stringa na to wzgórze, co reszta z nas będzie robiła przez dzień – a może tydzień – zanim wrócicie? Lepiej będzie, jeśli zanotujemy sobie to miejsce, polecimy dalej do kanionu, rozbijemy obóz, zaczniemy szukać skamieniałości, a kiedy już uporządkujemy nasze rutynowe działania i poznamy najczęstsze zagrożenia w okolicy, może uda nam się zrezygnować z McLaughlina na dzień lub dwa, żebyś mógł się przyjrzeć temu swojemu miastu – jeśli takowe to jest.

Kilka ostatnich słów Lamperta usunęło zraniony wyraz z twarzy małego człowieka.

— Co masz na myśli mówiąc – jeśli? Co innego mogłoby stworzyć taki wzorzec? To musiały być ulice.

— Albo system ciosów znajdujących się podłożu skalnym, zatrzymujący dostateczną ilość wody – lub odprowadzający ją – na tyle, by umożliwić lepszy wzrost roślin wzdłuż linii szczelin. Albo układ nachylonych warstw skalnych działający tak samo...

— Jeśli to ostatnie, to mamy tutaj właśnie to, czego szukasz. Powinno to przesunąć skamieliny blisko powierzchni.

Pilot skinął powoli głową.

— Tak jak mówisz, brzmi to bardziej atrakcyjnie. Mimo to, myślę że lepiej trzymać się pierwotnego planu, z tym że ja sam mogę polecieć z tobą, kiedy już wybierzmy się obejrzeć to wzgórze.

Odwrócił się z powrotem do sterów i wznowił opadanie helikoptera. Mitsuitei usiadł ponownie na swoim miejscu. Archeolog zdawał sobie sprawę z rozsądnego charakteru decyzji Lamperta, ale nie był szczególnie zadowolony z wymuszonego okresu oczekiwania. Jego mina zdradzała ten fakt, dopóki Sulewayo nie otworzył aparatu, którym się posługiwał i nie podał mu sterty odbitek, na których widniało domniemane „miasto”. Zgodnie z oczekiwaniami młodego paleontologa, tak zajęły one uwagę małego człowieczka, że nie zauważył nawet momentu lądowania.

Śmigłowiec osiadł na wzgórzu, które wybrał Lampert, w centrum czworokąta drzew, rosnących na tyle daleko od siebie, by pozostawało wystarczająco dużo wolnego miejsca dla wirników.

Słońca już prawie nie było widać. Zniknęło we mgle, gdy zeszli poniżej wysokości przelotowej. McLaughlin wiedział, że niedługo zrobi się na tyle ciemno, na ile robiło się zazwyczaj na Viridis. Noce mogły być tutaj niebezpieczne. Światła było wystarczająco dużo, by zwieść człowieka, że wszystko wyraźnie widzi, a niedoświadczony wędrowiec mógł się zbyt późno zorientować, że szczegóły terenu wcale nie są tak do końca wyraźne, a w bezcieniowej poświacie trudno znaleźć jakiegokolwiek wskazówki co do kierunków. Sam McLaughlin potrafił korzystać z księżyców, ale wątpił, by potrafił to zrobić którykolwiek z pozostałych członków grupy. Oni – lub raczej ich ruchy – na to nie wskazywały.

Z zadowoleniem zauważył, że gdy wielkie ostrza wirników delikatnie się zatrzymały, w kabinie śmigłowca nie było jakiegoś powszechnego pędu do drzwi. Naukowcy odwrócili się w jego stronę, ale pozostali na swoich miejscach. Nie padły żadne formalne słowa, lecz rzeczenie się przez Lamperta dowództwa, było oczywiste. McLaughlin podniósł się z fotela.

— Są dwa wyjścia — oznajmił. — Możemy spać w helikopterze lub na zewnątrz. W pierwszym przypadku będzie nieco ciasno, ale drugi wymagałby albo podwójnego kręgu z drutu pod napięciem, albo dwóch uzbrojonych strażników na stałej warcie. Bez urazy, ale wątpię, by ktokolwiek w tej grupie poza mną, mógł się kwalifikować do pracy nocnego strażnika.

— A dlaczego podwójny krąg z drutu? — spytał Lampert.

— Drut zatrzyma tylko zwierzę kontrolujące swój ruch, w chwili gdy się z nim zetknie. Skaczący na znaczne odległości felodon, wpadając na drut mógłby nie polubić jego działania – ale nie za bardzo byłby w stanie się zatrzymać, dopóki nie wyląduje na ziemi, a wtedy powinna przed nim się znajdować druga, podobna bariera.

— Moglibyśmy użyć zabójczego napięcia.

— Nawet gdybyście chcieli podjąć to ryzyko – bo przecież to co jest zabójcze dla felodona będzie tak samo zabójcze dla człowieka – będziecie

mieli problem z izolacją. Zawsze jest cholernie duża szansa na deszcz przed świtem, i...

— W takim razie chyba lepiej będzie zostać w środku. Mamy sprzęt elektryczny, ale jego rozstawienie zajmuje sporo czasu; i nie wydaje się to warte tylu kłopotów, dla spędzenia jednej nocy. Jak sam mówisz, będzie tu trochę tłoczno. Ale wszyscy sypialiśmy już w gorszych warunkach. Czy może ktoś wolałby rozstawić płoty?

Na to pytanie nie odpowiedział nikt. Na polecenie Lamperta podano i zjedzono posiłek. Następnie naukowcy rozłożyli się na noc, jedni tak aby od razu zasnąć, inni chcieli jeszcze przejrzeć plany lub sprawdzić sprzęt. Mitsuitei zajął się dokładnymi pomiarami na podstawie zdjęć, które otrzymał; był ostatnim który zasnął...

Wiele mil na południowy zachód felodon dotarł do rzeki. Nie było go już na wybrzeżu; jakiś czas temu zboczył w głąb lądu. Proste sprawdzenie kompasu pokazałoby, że nieustannie zmierzał prosto w kierunku stojącego na ziemi helikoptera. Nawet McLaughlin nie potrafiłby wyjaśnić, co kierowało tym stworzeniem, choć znał się na faunie Viridis, ale nikt kto by je obserwował od chwili gdy minęła je maszyna latająca, nie mógł wątpić co jest jego celem. Prawdę mówiąc znajdował się on teraz na tym samym brzegu rzeki co helikopter, ale cokolwiek nim kierowało, wskazywało mu drogę na drugą stronę wielkiego nurtu.

Bez chwili wahania, płaz zanurzył się w wodzie.

III

Ludzie obudzili się na długo przed wschodem słońca. Organizm ludzki potrzebuje dosyć znacznego czasu, aby dostosować swój cykl fizjologiczny do zmiany tak fundamentalnego czynnika, jak długość dnia. Nie próbowali jednak podejmować dalszego lotu, zanim zielona gwiazda nie pojawi się ponownie na niebie. Mitsuitei wysunął nieśmiałą sugestię, by spędzić ten czas na zwiedzaniu „miasta”, które widział poprzedniej nocy, ale McLaughlin ją zawetował.

— Chodzenie na piechotę po nocy przez dżunglę, to głupi pomysł, choć przyznaję, że czasami to się udaje. Mógłbym cię tam zaprowadzić, ale nawet gdybyśmy poszli teraz i natychmiast wrócili, stracilibyśmy mnóstwo czasu. Dr Lampert mówił już o tym wczoraj wieczorem. Spójrz, to twoje wzgórze jest tuż przy rzece. Kiedy się już rozłożymy w głównym obozie, stosunkowo łatwo będzie się na nie wyprawić. Mamy składane łodzie. Jeśli nie założymy obozu powyżej bystrzyn, nie będziesz musiał nawet latać. Nawet jeśli rozbijemy obóz dalej w górę rzeki i będziemy jednak musieli skorzystać z helikoptera, lot zajmie tylko kilka minut.

Mitsuitei zgodził się z nim, choć z wyraźną niechęcią. Nikt inny nie miał ochoty na tę wyprawę; na wzgórzach nie było wystarczająco wiele skał, by wzbudzić ekscytację wśród paleontologów, samo wzgórze również nie

wydawało się niczym niezwykłym dla geofizycznego oka Lamperta, a McLaughlinowi nie spieszyło się do pracy. Poczekali więc, aż „Szczypce” – Lampert przypomniał sobie arabską nazwę Beta Librae – wszędzie, a poświata na niebie zostanie zastąpiona przez szmaragdowy blask gwiazdy; wtedy podróż została wznowiona.

Trwało to, jak zapowiedział poprzedniego wieczora McLaughlin, zaledwie kilka minut. Wzgórze, na którym nocowali, znajdowało się mniej niż pięć mil od czoła pasma górskiego. Tylko panująca poprzedniej nocy mgła, nie pozwoliła im go dostrzec. Rzeka wypływała z kanionu o głębokości około tysiąca pięciuset stóp, kilka mil na południe od linii ich lotu w kierunku wschodnim.

Lampert, w nadziei, że zwyczajna mgła nie będzie zbyt przeszkadzała o tej porze, wzbiał się ponad poziom skalnych ścian, by uzyskać ogólny obraz całego pasma górskiego; ale zawiódł się. Przez niemal godzinę musiał krążyć nad tym obszarem, to kilka tysięcy stóp nad zachodnimi ścianami skał, to znacznie poniżej nich. Powoli stawało się jasne, że pasmo stanowi pojedynczy blok skorupy planety, który został wypchnięty skośnie w górę, po zachodniej stronie. Przeciwnie zbocza były bardzo łagodne, opadając tak stopniowo ku ogólnemu poziomowi równiny kontynentalnej, że nie można było jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu kończy się pasmo. Rzeka miała swój początek gdzieś dalej poza pasmem, przecinając je w poprzek, i tak jak mówił przewodnik, jej nurt nie był szczególnie wartki. Lampert miał wiele rzeczy do wyjaśnienia. Przecież woda powinna raczej spływać w kierunku niskiej strony bloku górskiego.

— Wydaje się oczywiste — podsumował swoje przemyślenia, gdy ponownie unosili się nad zachodnimi ścianami skalnymi, — że rzeka była tutaj już wcześniej, zanim nastąpiło to szczególne wypchnięcie bloku górskiego. W skorupie tej planety istnieją pewne siły diastroficzne, pomimo jej ogólnie łagodnej natury. Najwyraźniej mamy tu po prostu do czynienia z końcem długiego okresu odpoczynku, jaki Ziemia przeżywała już kilka razy. W gruncie rzeczy, nie powinienem może nawet mówić o końcu takiego okresu; może minąć nawet i pięćdziesiąt milionów lat zanim ta planeta znowu stanie się generalnie górzysta.

— Dlaczego użyłeś słowa „znowu”, Rob? — zapytał Krendall. — Według ustaleń twoich własnych kolegów, ta planeta ma stałą skorupę zaledwie od czterdziestu milionów lat. Czy mogłaby być taka płaska obecnie, gdyby kiedykolwiek w tym okresie była wyraźnie górzysta?

— Słuszna uwaga. Nie wiem, ale byłbym skłonny w to wątpić. No cóż, zrezygnujmy z określenia „znowu”, jeśli cię to uszczęśliwi. W każdym razie blok tworzący ten grzbiet wypychany był do góry na tyle wolno, że nawet ta rzeka, ze swoją stosunkowo niewielką siłą erozji, była w stanie dotrzymać mu kroku i nie dać odchylić swojego koryta. Prawdopodobnie — popatrzył na Mitsuitei — skała, z której jest zbudowany, okaże się dość mocno rozczłonkowana. Z góry wygląda to na coś podobnego – chodzi mi o bieg rzeki. Jest tam wiele zakrętów pod kątem prostym, lub takich które kiedyś były pod kątem prostym.

— Lepiej zejdzmy niżej i poszukajmy gdzieś wzdłuż rzeki miejsca na obóz — trącił Mitsuitei. — Zaczniemy od brzegu klifu skalnego. Wtedy możemy znaleźć się w miarę blisko tego wzgórza, a ja nadal chcę je obejrzeć, czy są na nim jakieś spękania, czy nie.

— Rozsądna propozycja — Lampert ponownie zszedł helikopterem w dół, aż znaleźli się zaledwie kilkaset stóp nad dżunglą, poleciał wzdłuż ściany klifu, do czasu gdy dotarli do kanionu i, bardzo ostrożnie, wszedł do jego wnętrza. Jego ostrożność okazała się niepotrzebna. Prądy powietrzne w żaden sposób nie przypominały zdradzieckiej kotłowniny, jakiej się tu spodziewał, a przynajmniej nie nad środkiem rzeki. Stały wiatr wiał w kierunku wyjścia kanionu, ale nie wydawał się specjalnie kręcić nawet na licznych zakrętach.

Ku irytacji archeologa, musieli minąć dwa zestawy bystrzyn, zanim dotarli do miejsca, gdzie brzeg był wystarczająco szeroki na obozowisko. W tym miejscu do głównego kanionu wchodził od północy dosyć duży, boczny. W miejscu, gdzie płynący jego środkiem strumień łączył się z główną rzeką, żwirowy teren o powierzchni kilku akrów nadawał się do wykorzystania przez naukowców. Lampert sprowadził helikopter na powierzchnię ziemi. Okolica wyglądała obiecująco; klify znajdujące się naprzeciw siebie w obu kanionach, wyglądały na w miarę dostępne na pewną odległość, do pieszej eksploracji, przynajmniej wzdłuż ich podstaw. Wspinaczka wydawała się w większości miejsc niemożliwa, gdyż ściany skalne wznosiły się stromo, z wyjątkiem sporadycznych szczelin, których istnienie przewidział Lampert; ale materiał był z pewnością osadowy i wszyscy, z wyjątkiem przewodnika, wyskoczyli z helikoptera z błyskiem w oczach, który zapowiadał szybkie rozproszenie się grupy.

Z pewnymi trudnościami McLaughlinowi udało się ich zebrać razem. Przy jednej ze ścian skalnych zostało wybrane miejsce, o powierzchni jakichś dwudziestu jardów kwadratowych, które następnie ogrodzono. Postawiono duży, prefabrykowany „namiot” z blachy i zainstalowano w nim małego klimatyzator; w środku umieszczono wyposażenie do spania i gotowania. W tym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w rękach naukowców pojawiły się młotki geologiczne, a McLaughlin zdał sobie sprawę, że powinien coś wyjaśnić, zanim straci naukowca lub dwóch. Jeszcze raz zwołał ich razem.

— W porządku, panowie. Przyznaję, że niezbędne prace w obozie zostały wykonane i nic nie powinno was powstrzymywać od zajęcia się waszymi badaniami. Mimo to, są pewne rzeczy, które powinniście lepiej zrozumieć.

— To, że jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron ścianami kanionu, nie czyni tego miejsca bezpiecznym. Każdy drapieżnik czy jadowita jaszczurka na tej planecie, może dostać się do nas przez rzekę – nawet te, które wyglądają jak zwierzęta lądowe. Każde z nich jest w stanie przepłynąć pod wodą, z punktu poza zasięgiem wzroku w obu kierunkach, do miejsca w którym stoicie; a jeśli myślicie, że przynajmniej raz musiałoby wypłynąć,

żeby ocenić waszą pozycję, to zgadujcie po raz kolejny. Nie wiem, jak one to robią, i nikt inny też nie wie, ale felodon mógłby się zanurzyć za zakrętem, tam w górze rzeki, wynurzyć się za helikopterem poza zasięgiem wzroku któregośkolwiek z nas i zaczekać, kiedy będziemy przechodzili koło maszyny. Dlatego przez cały czas chodźcie uzbrojeni. Wiem, że chcecie przebadać dużo terenu i nie możecie trzymać się w jednej grupie; ale nalegam, żebyście nigdzie nie chodzili sami. Weźcie ze sobą, co najmniej jednego kolegę. Najlepiej takiego, który nie jest członkiem waszej własnej dziedziny. Jeśli, na przykład, pójdzie razem dwu paleontologów, jest bardziej niż prawdopodobne, że będą siedzieli z głowami włożonymi do tej samej dziury w skale. Kiedy jeden z was będzie musiał kopać, upewnijcie się, że drugi rozgląda się dokoła i pilnuje. Wiem, że to spowolni waszą pracę, ale nie tak bardzo, jak w przypadku gdyby trzeba było czekać na nowy zespół badawczy z Emeraude – lub z Ziemi.

— Widzieliście już większość niebezpiecznych zwierząt w Zoo w Emeraude, więc nie będę tracił czasu na ich opisywanie. Pamiętajcie tylko, że nie zawsze usłyszycie ich nadejście. Będziecie musieli używać oczu.

— No dobrze, doktorze Lampert. Pan jest szefem, jeżeli chodzi o pracę naukową. Kto co ma robić i gdzie?

Geofizyk nie pokazał po sobie, że dostrzegł humorystyczny podtekst w uwadze przewodnika, tylko od razu przeszedł do rzeczy.

— Powiedziałbym, że jako pierwsze powinny być przebadane: główny kanion w górę rzeki i boczny w tym samym kierunku. Zmarnowaliśmy już sporą część dzisiejszego dnia i stracilibyśmy jeszcze więcej na składanie łodzi. Ndomi i ja pójdziemy w górę głównego nurtu; Hans i Take mogą zająć się drugim. Nie śpieszcie się. Jeśli coś wygląda dobrze, poświęćcie trochę czasu, aby zbadać to na miejscu. Oczywiście, jeśli jest to ewidentnie jakaś poważniejsza robota, po prostu oznaczcie to miejsce i idźcie dalej. Nie ma sensu, żeby jeden człowiek próbował wykopywać sześciostopową czaszkę jaszczura.

— Ponieważ ten region musiał być pokryty morzem, kiedy osadzał się wapień, nie ma zbyt dużych szans na obecność tutaj zwierząt lądowych. Chcemy jednak mieć jak najbardziej kompletną chronologię rozwoju form życia, więc zróbcie co możecie na tym poziomie. Później postaramy się o przebadanie wyższych formacji. Jeśli ten blok górski jest przechylony tak, jak się wydaje, powinno być ich wiele, dalej w górę rzeki.

— String, może lepiej pójdź z Take i Hansem. Wyruszcicie, gdy będziecie gotowi. Bądźcie z powrotem za — zerknął automatycznie na wąski pas fioletowo-niebieskiego nieba, a potem na zegarek — cztery godziny; wtedy porównamy notatki. Po tym czasie możemy albo skupić się na jednym lub drugim miejscu prac, albo wyciągnąć łodzie i przepłynąć się przez nurty wodne, jak wspominałem wcześniej.

Dwadzieścia minut później obie grupy straciły się nawzajem z oczu, nie widząc również helikoptera. Lampert spędził pierwszych kilka minut wędrówki, zastanawiając się, czy nie zachował się nieco zbyt oczywiście,

wysyłając zarówno przewodnika, jak i Krendalla, aby towarzyszyli małemu archeologowi; ale szybko przekonał siebie samego, że przemówienie McLaughlina dosyć dobrze pasowało do jego organizacji przydziału zadań.

W każdym razie, on prawdopodobnie bardzo szybko by się rozproszył innymi rzeczami. Klify były naprawdę interesujące. Wapień, jak się można było spodziewać, ale dość gęsty; może w pewnej części bar zastąpił wapń? A może siła grawitacji była na tyle odmienna, by zaburzyć jego ocenę dla tak małego odłamka? Prawdopodobnie nie. Przy szacowaniu masy kierował się w większym stopniu bezwładnością niż samym ciężarem. Tak czy inaczej, ten materiał to z pewnością węgiel. Potraktowany kroplą kwasu z zestawu podręcznego Lamperta zapienił się satysfakcjonująco.

I były też tam skamieniałości. Sulewayo pochylał się nad jakimś miejscem na powierzchni skały, badając je dokładnie; ale Lampert mógł dostrzec inne skamienieliny, nawet z miejsca w którym stał. Żadna nie wydawała się godna uwagi. Większość z nich były to dosyć oczywiste skorupiaki. Starannie powstrzymał się przed określaniem znalezionych organizmów przy pomocy nazw zgodnych z przypominanymi przez nie stworzeniami, odpowiadającymi im w ziemskich skałach; Sulewayo i jego koledzy nie pochwalali tej praktyki, która mogła być bardzo myląca. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie, by nie myśleć o nich jako o małżach.

— Co tam masz, Ndomi? — Wiedział, że ten drugi nie spędziłby tak dużo czasu nad żadnymi skorupiakami.

— Nie jestem pewien, tak dokładnie. Może to jakiś kręgowiec, a może nie. To, mógłby być pancerz, a to żebra, wszystko pomieszanе. Myślę, że oznaczę to na przyszłość.

— Przypuszczam, że to będzie kolejne dewońskie nie wiadomo co, tak jak wszystko inne na tej planecie, kiedy już trzeba zdecydować.

— Określenie „pensylwańskie”¹, lepiej pasowałoby do całej tej planety. Pomijając tę kwestię, możesz mieć rację. Rob, gdybyś mi tu pomógł, moglibyśmy wykonać pewną podstawową rzecz.

— Tak?

— Twierdzisz, że to jest wypchnięty pochyły blok skorupy. W najniższych formacjach, w chwili obecnej. Chciałbym zrobić zdjęcia i jeśli to możliwe zdobyć okazy jak największej ilości różnych odmian skorupiaków, na każdym poziomie. Wtedy będzie można ustalić jakąś sekwencję czasową – i użyć tych próbek jako skamieniałości wskaźnikowych, jeśli zwierzęta w ogóle ewoluują na tej przeklętej kuli błota. Gdybyś mógł otrzymać dla mnie kilka radioaktywnych datowań na dwóch lub trzech ładnie rozrzuconych poziomach, to też byłoby fajnie.

— Dzięki — odparł sucho Lampert. — Mnie samemu przydałby się taki materiał. Mogę ci powiedzieć to, co z pewnością już dobrze wiesz – z wapienia raczej nie uzyskasz niczego tego rodzaju.

— No cóż... intruzje są zawsze możliwe.

— W takim razie rozglądaj się za nimi. — Dwójka uczonych zabrała się do pracy.

¹ Nawiązanie do pensylwanu, drugiej i końcowej epoki karbonu (przyp. tłum.).

Dwie godziny w jedną stronę, trochę więcej niż jedna z powrotem. Gdy dotarli do helikoptera, nikogo przy nim nie było, ale druga grupa przybyła tylko kilka minut po przekroczeniu czterogodzinnej granicy wyznaczonej przez Lamperta. Porównanie notatek przy szybko przygotowanym posiłku wykazało, że druga grupa przebyła więcej kilometrów, ale wykonała mniej pracy. Krendall miał ten sam pomysł, co Sulewayo. Nie próbował jednak go realizować, gdyż jego kanion nie przecinał całego pasma i prawdopodobnie nie zapewniałby ciągłości zmiany formacji.

Lampert i Sulewayo, tak się złożyło, że nie znaleźli żadnych oznak samej zmiany. Ostatnie znalezione przez nich skamieniałości były, przynajmniej powierzchownie, identyczne z pierwszymi. Widoczne były jednak zwykłe ślady w podłożu i było całkiem oczywiste z ich geometrii, że marsz doprowadził ich na oryginalnie wyższe i w związku z tym przypuszczalnie późniejsze poziomy. Jednak w warstwie, która musiała obejmować osiemset lub więcej stóp oryginalnych osadów, nie wystąpiła żadna znacząca zmiana w skamieniałym życiu. Ile te osiemset stóp miałyby oznaczać w czasie, oczywiście, nikt nie miał najmniejszego pojęcia. Nie posiadali nawet przybliżonych oszacowań, jak szybko węglany mogą się wytrącać w viridiańskim oceanie. Można było obliczyć równowagę jonów węglanowych między atmosferą a morzem, ale nikt nie wiedział nic o organizmach wytrącających węglany na tej planecie.

Mitsuie w tym momencie zmienił nieco temat.

— Znaleźliśmy kilka z przewidywanych przez ciebie ciosów w skałach — powiedział do Lamperta.

— Aha? Bardzo szerokie? My nie zauważyliśmy niczego, co byłoby ewidentnym spękaniem. Ale było tam kilka małych bocznych kanionów – wszystkie na tyle wąskie, że mogliśmy przejść w bród lub przeskoczyć płynące w nich strumienie – które mogły rozpocząć swój żywot jako pęknięcia.

— Nasze były dosyć wąskie, a na dnie nosiły ślady popiołu wulkanicznego.

— Co?

— To prawda, Rob. Oto odrobina popiołu, jaką przyniosłem z powrotem. Pomyślałem, że możesz chcieć niewielkiego potwierdzenia w tej sprawie. — Krendall podał geologowi kawałek kruchego tufu, gdy to mówił. Lampert obejrzał go z zaciśniętymi ustami.

— Może lepiej wróćmy w powietrze i przeszukajmy okolicę pod kątem wulkanów — oznajmił w końcu. — Nie potrafię sam siebie przekonać do uwierzenia, w dwa pełne cykle górotwórcze na tej planecie – a nawet gdybym zdołał, trudno byłoby mi przełknąć pomysł tych warstw wapiennych, które pojawiają się, opadają i znowu się pojawiają w niezmienionej postaci. Jak głębokie były te osady wulkaniczne?

— Różnie. Najpłytsze w szerszych szczelinach; w bardzo wąskich, jak okiem sięgnąć.

— Sugeruje to, że były wymywane przez jakiś czas od pierwotnego osadzenia. Czy było w nich coś organicznego?

— Niczego jeszcze nie znaleźliśmy.

— Czy sięgają poniżej obecnego poziomu rzeki, czy nie?

— Dochodzą co najmniej do niego. Nie mogliśmy przeprowadzić żadnych większych wykopalisk.

— Jeśli schodzą dużo niżej — mruknął Lampert, — to dołączę do listy geofizyków, którzy zostali zbici z pantaląku przez tę zwariowaną planetę. No cóż, przyjmijmy jako hipotezę roboczą, że aktywność wulkaniczna ma charakter stosunkowo niedawny. To przynajmniej pozwoli mi zachować zdrowy rozsądek, dopóki nie pojawi się coś, co ją obali.

Dokończył swój posiłek w milczeniu, podczas gdy McLaughlin wygłosił karcący wykład na temat kwestii brodzenia w wodzie.

Ciągle jeszcze pozostała odrobina jasnego dnia, kiedy wszyscy ludzie już zjedli. Lampert, Sulewayo i archeolog wzięli więc helikopter i polecili w górę głównego kanionu, by sprawdzić, czy można nim dotrzeć do naprawdę nowych osadów.

Byli pewni, na podstawie zmian kolorów, które zaobserwowali już na różnych poziomach ścian skalnych, że takie istnieją. Okazało się jednak, że najniższe z nich nie docierają do poziomu rzeki, nawet na przestrzeni kilkunastu kolejnych mil. Według mapy odległość była mniejsza, ale kanion, wił się tam i z powrotem wokół tego, co geofizyk ciągle uważał za porozdzielane szczelinami bloki, ciągnął się w innych kierunkach dobre dwie mile, na każdą jedną prowadzącą na wschód. Przyjmując to do wiadomości, odkrywcy wzbili się helikopterem wyżej i zaczęli sprawdzać klify na wyższych poziomach, z tak bliska jak tylko Lampert się odważył podlecieć. Działając w taki sposób, zaczęli wracać w kierunku obozowiska.

Po raz kolejny to Mitsuitei jako pierwszy zauważył coś, co wzbudziło duże zainteresowanie.

— Znalazłeś kolejne miasto, Take? — zapytał Sulewayo na okrzyk swego towarzysza.

— Nie do końca. Chodzi mi... no cóż, wydaje mi się, że faktycznie mamy tu system takich spękań, o których ciągle mówicie. Mimo to, wygląda on strasznie regularnie. — Zabrzmiało to nieco smętnie.

— Rzeczywiście. — Paleontolog skinął powoli głową. — Tak jak powiedziałeś to prawdopodobnie system spękań. Ponadto, najprawdopodobniej jest on pełen popiołu wulkanicznego, jeśli oczy mnie nie zawodzą. Rob, jaka jest szansa na lądowanie na jednej z półek? Są tam co najmniej trzy formacje dostępne z tego miejsca pieszo; i mógłbym zdobyć jeszcze parę próbek tufu, które mogłyby wzmocnić lub zburzyć twój spokój ducha, podczas gdy ja będę zajmował się swoją własną pracą.

Lampert dokładnie przyjrzał się terenowi. Podobnie jak w ziemskim Wielkim Kanionie, tutaj również ściany cofały się od czasu do czasu na niektórych wysokościach, pozostawiając półki. Skały kanionu rozsuwały się na większe odległości w miejscach, gdzie zostały wypłukane bardziej

miękkie warstwy kamienia, lub procesy orogeniczne zatrzymywały się na dłużej i na danym poziomie dawały rzece więcej czasu na działanie. Pęknięcia, które dostrzegł Mitsuitei, układały się w zgrabny, krzyżowy wzór na górnej powierzchni jednej z takich półek. Niektóre z nich od razu zdradzały swoją naturę, wychodząc z pionowej ściany nad nią. Był to niezaprzeczalnie niezwykle układ spękań o małej skali, przynajmniej jak na ten system górski, i mógł zawierać możliwe do odczytania wskazówki co do sił, które ukształtowały cały ten obszar.

Mieli jednak tylko jeden helikopter. Lampert powoli pokręcił odmownie głową.

— Obawiam się, że muszę odmówić, Ndomi. Twoje półki mogą być wystarczająco duże, ale nie są odpowiednio równe. Musiałbym wykonać lądowanie w kołysaniu, a nie jestem aż tak dobrym pilotem.

— Cóż, a może pozwolisz mi zejść po drabince? Mamy taką stustopową, więc mógłbyś być nad następną półką, podczas gdy ja zejść na dół. Miałbyś mnóstwo miejsca na płaty. Ten następny poziom sięga kilkaset stóp w tył.

— To może być do przyjęcia. — odezwał się z wahaniem Lampert. — Z pewnością masz prawo ryzykować własną głowę chodząc po drabince, jeśli masz na to ochotę. Ale nie będziemy próbować tego już dziś. Chciałbym sprawdzić ze Stringiem, czy bezpieczne jest, abyś został tam zupełnie sam. To miejsce wygląda na dosyć trudno dostępne dla każdego stworzenia, które nie potrafi latać, a ja nie znam żadnych naprawdę niebezpiecznych latających zwierząt na tym świecie; ale i tak lepiej to sprawdzimy.

— Jak dla mnie, wszystko w porządku. W każdym razie, chciałbym jak najszybciej mieć tutaj dzień dla siebie.

— Kiedy Ndomi będzie spędzał dzień tutaj, co myślisz aby wtedy String zabrał mnie w pewne inne miejsce i załatwilibyśmy tę sprawę raz na zawsze? — zapytał Mitsuitei, gdy śmigłowiec podchodził do lądowania w obozie. — To pozostawiłoby Hansowi i tobie możliwość stworzenia innej drużyny, cokolwiek jeszcze chcielibyście zrobić.

— To powinno być w porządku. Wszystko będzie jednak zależeć od tego, czy String uzna, że samotna praca na tej półce jest dla człowieka bezpieczna.

Propozycja ta została przedstawiona McLaughlinowi zaraz po lądowaniu maszyny. Ku zaskoczeniu Lamperta, przewodnik wstępnie wyraził warunkową aprobatę.

— Pamiętajcie — zakończył, — że nie wiem, co żyje na tych klifach. To kraina, której nigdy dokładnie nie zwiedzałem. Na razie mogę tylko powiedzieć, że żadne znane mi viridiańskie zwierzę nie mogłoby się tam dostać, z wyjątkiem takich które potrafią latać; a tych nie ma się co obawiać, zwłaszcza za dnia. Jednak chciałbym udać się z wami, kiedy będziesz go tam jutro zabierał, żeby obejrzeć to miejsce. I zdecydowanie bym zalecał, żeby miał przy sobie komunikator, a także broń. Ale jeśli tam na miejscu nie zauważę czegoś, o czym nie wspomniałeś, powiem, że wszystko powinno być w porządku...

Felodon po raz kolejny dotarł do rzeki, ale tym razem jej nie przekroczył. Nie kierował się już prosto na helikopter. Wzgórza nie zmieniły jego trasy, lecz klify tak. Po prawej jego stronie utworzyły ścianę, która była zbyt gładka i stroma jak na jego zwinność i siłę. Jednak nawet ta bariera nie spowodowała żadnego widocznego zawahania czy zwątpienia. Skręcił, ruszył wzdłuż podstawy ściany do miejsca, gdzie wyłaniała się rzeka i zanurzył się w niej tak szybko, jak wcześniej. Niewiele płazoidów traciło umiejętność pływania, kiedy znikwały ich larwalne skrzela; słaby prąd nic nie znaczył dla felodona.

Skierował się w górę rzeki i ruszył dalej.

IV

Ndomi Sulewayo wykonywał swój zawód na tarasach Wielkiego Kanionu na Ziemi, na klifach najwyższego pasma Fomalhaut Cztery i w kiepskich warunkach na słabo oświetlonym Antares Dwanaście. Fizyczne zagrożenia związane z jego obecną pracą niewiele go trapiły. McLaughlin zgodził się, że półka, na której pozostawiono paleontologa, jest niedostępna dla większych drapieżników i przekazał jedynie ostatnie ostrzeżenie przed jadowitymi „jaszczurkami”. Głównym zagrożeniem, jakie postrzegał Sulewayo, był fakt, że coś może się stać z helikopterem. Z pewnością nie byłby w stanie dołączyć do pozostałych, na piechotę. Stał przed skalną ścianą, wysoką na jakieś sześćdziesiąt stóp. Kilkadziesiąt stóp za nim, taras kończył się kolejnym prostopadłym spadkiem, o wysokości kilkuset stóp. W odległości ćwierci mili po obu stronach, płaska powierzchnia tarasu kończyła się; na zachodzie zwężając się, aż dwie ściany skalne – górna i dolna – stapiały się w jedną; na drugim końcu była odcięta na tak dużą odległość, jak okiem sięgnąć, przez szczelinę przenikającą najwyraźniej całą głębokość kanionu.

W ścianie przed którą stał, znajdowało się kilka innych pęknięć. Podobnie jak te w kanionie bocznym, badanym przez Krendalla i Mitsuitei, były one wypełnione wulkanicznym gruzem. Trudno było to pogodzić z sugestią, że erozja działała tutaj już od dawna. W takim przypadku, wyższe partie powinny były zostać zmyte na długo przed materiałem znalezionym na dnie kanionu.

Bliższe badanie zasugerowało możliwe wyjaśnienie tej sprawy. Tuf w tym miejscu był dosyć dobrze scementowany. Rozsądne wydawało się przypuszczenie, że szczeliny te były obecne zanim jeszcze góry zaczęły się wypiętrzać, że przepływ błota wulkanicznego wypełnił je gruzem, a następnie nowy materiał został scementowany przez rozpuszczony materiał pochodzący z góry. To mogłoby sprawić, że górne poziomy tufu były bardziej odporne niż te położone niżej, do których minerały scalające nie dotarły w takiej ilości, co tłumaczyłoby wszystkie zaobserwowane do tej pory fakty.

Hipoteza ta implikowałaby również istnienie obfitych zasobów skamieniałości. Błoto wulkaniczne spływające do szczelin w ziemi powinno nieść ich ze sobą całe mnóstwo. Sulewayo zabrał się do pracy z młotkiem i już po chwili był cały zlany potem.

Kusiło go, by zdjąć część ubrań, ale zostały one poddane obróbce chemicznej, aby odstraszać viridiańskie insekty, tak więc zwyciężyła ostrożność. McLaughlin nie wspomniał nic o żadnych niebezpiecznych gryzących czy żądających paskudztwach, i najprawdopodobniej jego krew nie przypadłaby do gustu żadnemu z tego rodzaju stworzeń na tej planecie – ale nawet jeśli komar lub kleszcz dowiedziałby się o tym fakcie dopiero po jej spróbowaniu, Sulewayo raczej by na tym nie skorzystał. W każdym razie pokusa, by się rozebrać, szybko mu przeszła. Już po kilku minutach jego uwaga była w pełni zajęta pracą, gdyż spodziewane skamieliny okazały się być obecne w bardzo zadowalających ilościach.

Większość wydawała się dosyć fragmentaryczna. Najwyraźniej oryginalne stworzenia zostały dość mocno zniszczone, zanim środowisko stwardniało. Jednakże odnalezione szczątki były to zdecydowanie kości, tak jak się spodziewał i na co miał nadzieję. Przez jakiś czas Sulewayo zajmował się na przemian wykopywaniem kolejnych fragmentów i próbami dopasowania do siebie co bardziej obiecująco wyglądających okazów, choć przy tym drugim zadaniu nie odnosił specjalnych sukcesów. Potem zaczęły się pojawiać ślady bardziej kompletnych zestawów szczątków, i natychmiast zwolnił pracę, stosując niewiarygodnie drobiazgową procedurę, typową dla paleontologów w każdym miejscu we wszechświecie.

Do tej chwili wkopał się w tuf na około stopę, z całej trzystopowej szerokości szczeliny, a od poziomu tarasu aż na mniej więcej głębokość swojego wzrostu. Pomimo swej pozornie twardej konsystencji, skała była niezwykle miękka; i ponownie pojawiło się stare pytanie o erozję. Za większą część wysokiego tempa jego pracy odpowiedzialne były wielkie kieszenie niezwykle kruchego materiału. Teraz jednak, z typową dla rzeczy martwych złośliwością, napotkał na twardszą substancję, najwyraźniej otaczającą kości, które, jak podejrzewał, znajdowały się nieco dalej. To, w połączeniu z jego zwiększoną pieczołowitością, spowodowało niemalże zahamowanie procesu wydobywania materiału skalnego z rozpadliny.

Kości tam były. Być może ich obecność wcześniej zdradziło odbarwienie skały, zbyt słabe by mógł je świadomie zauważyć; być może było to coś jeszcze bardziej subtelnego, co wchodzi w skład warsztatu dobrego pracownika terenowego w paleontologii, ale w miarę jak płatek po płatku z otaczającej je formy skalnej odpadał pod jego atakiem, stopniowo zaczęły nabierać kształtów.

Na początku zarysowała się pojedyncza kość, która mogła być niezwykle krótką kością paliczkową lub niezwykle długim nadgarstkiem – lub, oczywiście, czymś innym, zupełnie z nimi niezwiązanym. Potem

kolejna, położona na tyle blisko, by sugerować, że związek między nimi mógł istnieć za życia stworzenia. I jeszcze jedna – Sulewayo nie usłyszał zbliżania się helikoptera, dopóki wirnik maszyny nie wzbił kurzu wokół jego stóp.

Wiedząc, że Lampert będzie miał problemy z utrzymywaniem maszyny tak blisko klifu, paleontolog niechętnie przypiął swój ekwipunek do pasa i zaczął wchodzić po drabinie. Pięć minut później byli już z powrotem w obozie, a Krendall z zapalem słuchał opisu Sulewayo na temat jego znaleziska.

— To z pewnością kręgowiec, Hans. To nie może być skorupa czy drewno. To prawie na pewno stworzenie lądowe...

— To dosyć prawdopodobne w tego rodzaju skałach, w każdym razie.

— ...ponieważ mam tam już wystarczająco wiele odkrytych fragmentów, by być prawie pewnym, że to stopa. Z pewnością jest to kończyna, która nie byłaby potrzebna zwierzętom pływającym.

— Jak u ichtiozaura? — zapytał niewinnie Lampert.

Sulewayo uśmiechnął się szeroko.

— Całkiem możliwe. Bardziej możliwe, że to jednak jeden z naszych wszechobecnych płazoidów. Z pewnością jest to coś, co warto wykopać do końca, ponieważ naszym ogólnym celem jest uzyskanie jakiejś sekwencji ewolucyjnej.

— W takim razie przypuszczam, iż oznacza to, że będziesz chciał, abym datował erupcję, która wypełniła te wszystkie szczeliny materiałem wulkanicznym.

— Jasne, ale z tym nie ma pośpiechu. Jutro wystarczy.

Lampert stwierdził, że nie ma na to odpowiedzi, i w dyskusję miał w końcu możliwość wcisnąć się Mitsuitei. Spędził dzień z McLaughlinem, tak jak miał nadzieję; i pierwsze niepowodzenia w poszukiwaniach kostki brukowej, nie stłumiły jego zapału.

— Przypuszczam, że ty i Hans będziecie chcieli jutro polecieć na klif — zauważył. — W takim razie, Rob może równie dobrze zostać ze Stringiem i ze mną. Przyspieszy to kopanie na moim wzgórzu.

— Czy nadal masz zamiar zeszkrobywać piach z tego czegoś? — spytał Sulewayo z kpiącym zdziwieniem. — Czy jeden dzień nie wyjaśnił ci, że był to zestaw spękań, jak reszta?

— Jeszcze nie. Nie zeszliśmy jeszcze do skały nad żadnym miejscem, gdzie powinny znajdować się twoje pęknięcia. Płatanina korzeni wysokich drzew, spowalnia kopanie. Przyznaję, że skała ma wapienny charakter, tak jak klify, ale nadal nie ma wskazówek na to, dlaczego te drzewa rosną tak regularnie.

— To właśnie mówiliśmy ci przez cały czas; ale ty ciągle szukasz pozostałości miasta.

— Jak zrozumiałem, Ndomi, z waszej ostatniej rozmowy, będziecie kopać w poszukiwaniu zwierzęcia lądowego, na podstawie trzech kości. Albo działasz na bazie przeczucia, co odbiera ci prawo do krytykowania mnie, albo wnioskujeś na podstawie jakiejś wiedzy niedostępnej dla reszty z nas. W tym drugim przypadku, powinieneś być przynajmniej na

tylko otwarty, by uznać, że ja posiadam również taką wiedzę, w mojej własnej dziedzinie.

Tym razem to Sulewayo nie miał nic do powiedzenia; szczerze przypuszczał, że archeolog brał hipotezę „miasta” nie bardziej poważnie niż pozostali. Natychmiast przeprosił i pokój został przywrócony. Lampert przypieczętował go, zgadzając się na sugestię Mitsuitei.

Resztę wieczoru obie grupy spędziły na szczegółowym planowaniu. O zachodzie słońca wszyscy położyli się spać pod osłoną elektrycznego ogrodzenia. Nawet przewodnik uznał to za wystarczający środek bezpieczeństwa.

Najwyraźniej jego zdanie podzielane było jeszcze przez co najmniej jedną istotę. Felodon spędził większość dnia pod wodą; przez część czasu w kanionie, dosyć blisko Lamperta i Krendalla, a później w dole rzeki przy stanowisku, gdzie pracowali przewodnik i archeolog. W żadnym z tych miejsc nie wynurzył się, ani nie okazał najmniejszych śladów chęci ataku. Uwaga McLaughlina co do dziwnego instynktu tych stworzeń wydawała się uzasadniona. Z pewnością nie mogło ono widzieć ludzi, ale niewątpliwie zdawało sobie sprawę z ich obecności.

Co takiego tkwiło w obcych przybyszach, że wywarli tak silny wpływ na miniaturowy mózg drapieżnika, nikt nie był w stanie powiedzieć – wtedy. Każdy obserwator, który mógłby przypuszczać na podstawie wcześniejszego zachowania zwierzęcia, że napędza je pragnienie nowych i odmiennych doznań smakowych, musiałby teraz odrzucić tę koncepcję.

Gdy ludzie bezpiecznie skryli się za ogrodzeniem, bestia nagle zawróciła w dół rzeki. Wróciła do miejsca obozowiska, pod koniec dnia roboczego. Teraz w godzinę znalazła się w dżungli poniżej kanionu, po następnej godzinie zabiła i pożerała swoją ofiarę, tak samo jak wtedy zanim jeszcze zwrócił jej uwagę szum helikoptera. Tym razem dokończyła posiłek w spokoju, a kiedy zjadła, nie wykazywała natychmiastowo oznak powrotu swojej poprzedniej obsesji.

Zamiast tego felodon poszukał sobie legowiska i spoczął w nim, wtapiając się tak doskonale w poszycie i zachowując tak cicho, że w ciągu kilku minut małe zwierzęta zaczęły przechodzić zaledwie kilka stóp od ukrytego zabójcy.

Robin Lampert był tylko przyzwoitym statystykiem, ale gdyby zapoznał się z ruchami felodona w ciągu ostatnich kilku dni, nawet on byłby skłonny przysiąc, że w grę wchodziło coś więcej niż tylko przypadek. Prawdopodobnie miałyby ochotę przeprowadzić sekcję zwierzęcia w poszukiwaniu mechanizmów, które nim sterowały.

Jednak Robin Lampert nic nie wiedział o tym stworzeniu. Tak samo jak Takehiko Mitsuitei, a to było dosyć niefortunne, gdyż legowisko, które wybrało sobie zwierzę, znajdowało się na tym samym wzgórzu, na którym archeolog prowadził wykopaliska, i zaledwie ćwierć mili od dołu, który Mitsuitei pozostawił po wczorajszym dniu.

Następnego ranka nie było widać wschodzącego zielonego słońca. Wszechobecna mgła zgęstniała, tworząc solidną warstwę chmur, a szumiący deszcz ograniczył widoczność do kilkuset metrów. Śmigłowiec wybadał drogę do wzgórza radarem, wylądował na rzece, został przyholowany na pływakach do brzegu i zacumowany. Wyszli z niego Lampert, McLaughlin i Mitsuitei. Naukowcy byli cali obładowani aparaturą, i ruszyli pod górę w kierunku miejsca wykopalisk. Przewodnik niósł tylko broń.

Sprzęt, który przywieźli, nie należał do urządzeń, których miał w zwyczaju używać Mitsuitei. Prawdę mówiąc, był on własnością Lamperta. Normalnie nie zostałyby użyte podczas wykopalisk archeologicznych, tak samo jak nie zostałyby zastosowane do poszukiwania skamieniałości, ponieważ żadna z tych czynności nie jest dobrym polem dla wykorzystania automatycznych maszyn do kopania. Lampert zasugerował jednak jego zastosowanie, aby szybko zorientować się w naturze pokrywy glebowej, skały macierzystej i struktury spękań na wzgórzu. W zależności od otrzymanych wyników, w razie czego można będzie zrezygnować z jego użycia, na rzecz bardziej powolnych metod kopania. Jeśli nie, kilka godzin pozwoli im dowiedzieć się tyle o całym terenie, co wiele dni pracy z wykorzystaniem powolniejszego sprzętu.

Dziura, którą Mitsuitei już wykopał, znajdowała się na pewnej wysokości na stoku wzgórza, w miejscu oczyszczonym z zarośli za pomocą miotacza ognia. W okolicy znajdowało się kilka innych takich polan. Jak powiedział archeolog, podjął już wcześniej kilka prób kopania, które zostały udaremnione przez korzenie.

Ku pewnemu zaskoczeniu Lamperta, nawet z poziomu ziemi można było wyraźnie określić położenie pasm wyższych drzew, które były tak dobrze widoczne z powietrza. Nawet wyrastające niżej rośliny wykazywały oznaki jakichś podziemnych wpływów. Poszycie rosnące pomiędzy najwyższymi drzewami, wyznaczającymi linie proste, które ludzie widzieli z góry, tworzyło niemal nieprzeniknioną ścianę. W innych miejscach poruszanie się pieszo było łatwe, choć powierzchnia nie była bynajmniej jałowa. Lampert zrozumiał, że kopanie na jednej z żyznych linii mogło być naprawdę trudne, i otwarcie to przyznał.

— W tym właśnie tkwi problem — zgodził się Mitsuitei. — Chciałbym zejść w dół dokładnie w takim miejscu, żeby zobaczyć co tam jest pod spodem. Wydaje mi się, że za bujniejszy rozrost roślinności może być odpowiedzialne brukowanie, jeśli użyto do niego odpowiednich materiałów. Wiele cywilizacji wykorzystywało różnego rodzaju substancje organiczne, które stopniowo się rozkładają i stają się dobrym nawozem. Kolejnym czynnikiem na to wpływającym mogą być pozostałości systemu kanalizacyjnego, co mogłoby wzbogacać glebę...

— Po tak długim okresie, jaki musiał upłynąć od czasu, gdy to miejsce zostało zasypane?

— Zdarzało się. W takim przypadku, oczywiście, raczej odpowiedzialne byłyby pierwiastki śladowe, a nie azotany czy fosforany. I coś podobnego właśnie podejrzewam tutaj.

— Ale czy nie lepiej byłoby kopać w miejscu, gdzie faktycznie zaczęłeś to robić – pośrodku bloku ulic, jeśli rzeczywiście mamy tu z czymś takim do czynienia? Wtedy miałbyś pewność, że trafisz na budynek, który przecież powinien być bogatszym polem wykopaliskowym niż ulica.

— Tylko jeśli rzeczywiście trafi się prosto w artefakty. Sam budynek może być znacznie gorzej zachowany niż brukowana ulica. Ale to ty obsługujesz tego mechanicznego kreta. Kop, gdzie chcesz, i zobacz, czego uda ci się dowiedzieć o tym wzgórzu. Tylko zanim skończysz, daj mi przynajmniej kilka rdzeni z moich 'ulic', proszę.

Lampert skinął głową i przystąpił do składania swojego sprzętu. „Kret” był cylindrem o średnicy około pięciu centymetrów i trzykrotnie większej długości. Na jednym jego końcu znajdował się otwór głowicy tnącej, drugi zaś przymocowany był do grubego jak wąż przewodu, nawiniętego na sporych rozmiarów bębna. Mniej więcej pośrodku bębna zamontowany był panel z gałkami sterującymi i wskaźnikami.

Geofizyk ustawił cylinder na ziemi otworem do dołu, wciskając go w miękką ziemię na tyle, by zapewnić pionowe położenie urządzenia. Następnie podszedł do bębna i panelu sterującego i po chwili cylinder, z lekkim hałasem, zaczął zagłębiać się w ziemię. W ciągu kilku sekund zniknął im z oczu, ciągnąc za sobą węzowy przewód.

Obaj mężczyźni obserwowali go w milczeniu. Może trzydzieści sekund po tym, jak zniknął pod ziemią, miały miejsce lekkie drgawki przewodu, na chwilę wzmógł się szum maszyny, i z otworu pośrodku bębna wysunął się korek ziemi o średnicy około dwóch centymetrów i długości pięciu. Lampert chwycił go i krótko zbadał, po czym odrzucił na bok.

— Warstwa gleby jest dosyć głęboka — zauważył.

— Z jakiej głębokości to pochodzi? — zapytał Mitsuitei.

— Metr. Taki interwał próbkowania na razie ustawiłem. Jeśli kret napotka materiał znacznie twardszy lub łatwiejszy do penetracji, ostrzeże mnie i będę pobierał próbki częściej.

Rozmowa ucichła, podczas gdy dwie kolejne próbki dotarły na powierzchnię i zostały przebadane. Wtedy na panelu zamigotało światło, a Lampert przestawił jedno ze swoich pokręteł; i niemal natychmiast pojawił się rdzeń z jasnoszarego wapienia.

— Najwyraźniej to ten sam materiał, co na klifach — stwierdził Lampert po zbadaniu próbki. — Chcesz wejść głębiej, czy wywiercimy jeszcze kilka otworów, żeby zorientować się w konturze skały?

— Z jaką szybkością to coś będzie przebijało się przez wapień?

— Dwa centymetry na minutę. Jest za mały, żeby zmieścić w nim prawdziwą jednostkę energetyczną.

— Dajmy mu pięć minut, żeby się upewnić, że to nie jest blok budulcowy.

— Dziesięć centymetrów nie da ci całego bloku.

— Próbka ze środka bloku, z takiej głębokości powie mi wszystko, co jest potrzebne. Wygląda na to, że wy, zbieracze skał, ciągle jeszcze nie

uważacie, iż archeologia jest nauką. Pozwólcie że przebadam ten pierwszy rdzeń.

Mitsuiei wyglądał na pewnego siebie do tego stopnia, że graniczyło to z pychą, i Lampert pozwolił kretowi kopać dalej. Drugi rdzeń dotarł do nich o odpowiednim czasie, i mały człowieczek zasiadł radośnie do pracy, nad drobnymi wiórkami z dwóch kamiennych cylindrów, szczyptą próbki gleby z najniższej warstwy, jaką udało im się uzyskać, przy użyciu niewielkiego mikroskopu porównawczego i pudełka pełnego maleńkich buteleczek z odczynnikami. Lampert wykorzystał czas, jaki pochłonęły badania, na wyprowadzenie kreta i ustawienie sprzętu w nowym miejscu. Do czasu gdy mała maszyna ponownie utorowała sobie drogę do warstwy skały, Mitsuiei zmuszony był przyznać, że formacja wydaje się być naturalna.

Nie wyglądał jednak na tak zniechęconego tym odkryciem, jak można by się tego spodziewać. Po prostu czekał na kolejne rdzenie, a jego wąska twarz nie odzwierciedlała niczego poza całkowitym zaabsorbowaniem, jakiego Lampert doświadczał za każdym razem, gdy pojawiał się problem w jego dziedzinie. Pomimo pewnej widocznej skłonności do wyciągania nieco zbyt pochopnych wniosków, Takehiko Mitsuiei był doświadczonym i szanowanym uczonym w swojej branży. Lampert wiedział o nim wystarczająco wiele, by na chwilę obecną zaakceptować jego instrukcje.

Stopniowo wywiercono serię otworów, od pierwotnego stanowiska, w kierunku jednej z „ulic” oddalonej od niego o czterdzieści jardów. Po każdym z nich archeolog z doskonałą pogodą ducha przyznawał, iż nie znaleźli niczego co by było sprzeczne z ideą, że wzgórze jest formacją całkowicie naturalną. Nadal jednak upierał się, że istnienie takich regularnych linii drzew, wzmocnionych przez podszycie, wymaga wyjaśnienia.

Lampert przyznawał to, ale czuł, że wie na czym będzie polegało to wyjaśnienie. Pomimo wszystko pozostałości wulkaniczne z dużym prawdopodobieństwem mogą zawierać mikroelementy, których potrzebuje roślinność, nawet na Viridis.

W końcu przyszedł czas na potwierdzenie – albo wręcz przeciwnie – odrzucenie hipotezy miasta. Tym razem trzeba było użyć miotacza ognia i przez kilka minut kłęby pary wirowały wokół ludzi, gdy błękitno-biały strumień ognia z urządzenia walczył z soczystym, nasiąkniętym deszczem podszyciem. Następnie na miejsce wykopu przeniesione zostały kret i jego elementy sterujące, a mały robot po raz kolejny skrył się pod ziemią.

— Nie wydaje mi się, żebyś chciał jakieś próbki powyżej poziomu skały, prawda? — zapytał Lampert, gdy maszyna zniknęła.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pobierzemy je w taki sposób jak zwykle — brzmiała odpowiedź. — Powinniśmy choćby spróbować poznać głębokość, na której zmienia się skład gleby – a w tym jesteśmy przynajmniej zgodni, że w jakiś sposób się ona mimo wszystko zmienia.

— To prawda.

Geofizyk ustawił swoje pokrętła i proces trwał – proces znany już zarówno McLaughlinowi, jak i naukowcom, ponieważ przewodnik łapał liczne migawki tego, co się działo, gdy przechadzał się wokół obszaru prac na wyznaczonej samemu sobie służbie wartowniczej.

Mitsuitei odbierał kruche rdzenie glebowe, w miarę ich napływania, szybko je badał – kolejne przybywały co kilka sekund – i składał w ponumerowanych przegródkach w przygotowanym wcześniej pojemniku na próbki. Na szczegółową stratyografię przyjdzie czas później. Przez jakiś czas nie było żadnych wyraźnych dowodów zmian w glebie; w zasadzie do czasu, aż zappełnił się pierwszy pojemnik.

— Możesz to na chwilę zatrzymać, Rob? — zapytał w tym momencie.
— Nie chcę się w tym wszystkim pogubić i trzeba będzie zatrzymać prace, na czas aż przygotuję nowy pojemnik.

— W porządku. Pomyślałem, że i tak wkrótce będziesz chciał się zatrzymać, żeby pomyśleć.

— Dlaczego?

— Ponieważ kret znajduje się już prawie cztery metry w dole, znacznie poniżej głębokości, na której wcześniej natrafialiśmy na skałę macierzystą, i nadal jest w glebie.

— Tak? Ale... ale to wciąż zwykła gleba; żaden z tych twoich popiołów wulkanicznych.

— Na klifach z wielu spękań tuf został wyerodowany. Nie ma powodu, aby spodziewać się, że tutaj będzie na tym samym poziomie, co otaczające go skały.

— To prawda. — Mitsuitei zatrzymał się na chwilę w zamyśleniu. — Jeśli nadal będziemy szli prosto w dół, możemy po prostu pracować w naturalnej szczelinie, jak powiedziałeś. Czy nie lepiej byłoby wywiercić tu kilka otworów na przestrzeni kilku jardów kwadratowych, by ustalić, czy jest to wąska szczelina, taka jakiej się spodziewasz, czy też faktycznie krawędź skały na tym poziomie?

— Może krawędź dachu budynku, co? — Lampert chichotał, ale powiedział to w sposób, który nie dawał żadnego powodu do obrzydzenia. — Mogę zrobić coś lepszego niż proponujesz. Nie trzeba wyciągać kreta na powierzchnię i zaczynać od nowa w innym miejscu; wystarczy wiercić poziomo od punktu, w którym się teraz znajdujemy. Uzyskanie wymiarów szczeliny nie powinno zająć wiele czasu, jeśli tylko tego sobie życzysz.

Zatrzymał na chwilę robota i z przegródki w bębnie wyjął coś w rodzaju małego teodolitu. Rozłożył go na krótkim statywie nad miejscem, gdzie przewód kreta wyłaniał się z ziemi, i ustawił wskazówkę pod kątem prostym do linii wysokich drzew. Potem znów uruchomił kreta.

V

Cztery uruchomienia maszyny w różnych kierunkach i poświęcone temu dwadzieścia minut, wykazały dość jednoznacznie, że linia

roślinności, która dała początek teorii „ulicy”, rośla wzdłuż prostego pęknięcia, najwyraźniej całkiem zwyczajnej szczeliny w wapieniu. Chociaż aby to udowodnić, należałoby wywiercić jeszcze kilka otworów, nawet Mitsuitei skłonny był przyznać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostałe linie drzew będą się znajdowały nad podobnymi spękaniem.

— Musicie jednak przyznać, że regularność tego układu szczelin jest dość niezwykła — powiedział po dłuższej chwili archeolog.

— Nie można powiedzieć, żeby było to coś zupełnie nieznanego — odparł Lampert. — Po raz pierwszy miałem okazję doświadczyć tego w czasach studenckich, na Ziemi. Przeleć się kiedyś nad terenami mesa w południowo-zachodniej części Ameryki Północnej. Większość szczelin jest niewidoczna z daleka, oczywiście, ale na krawędzi wzgórza, gdzie wietrze nie najbardziej rzuca się w oczy, bloki często zaczynają się rozdzielać i całość wygląda tak, jakby została zbudowana z nieforemnych cegieł.

— Hmm. Wydaje mi się, że przypominam sobie coś podobnego, teraz, gdy już o tym już wspomnieliśmy. Prowadziłem nawet kilka wykopalisk w tamtym regionie. Nie powinniśmy jednak łączyć tego rodzaju terenu z tym, co mamy tutaj.

— Inne mięso; ten sam szkielet — odparł Lampert.

— Ale co z tym wulkanicznym popiołem, błotem, czy czymkolwiek by to nie było, które wypełniało szczeliny widziane przez nas na klifie? To nie jest takie powszechne, prawda?

— Nie, jeśli chodzi o moje doświadczenia. Ale biorąc pod uwagę ogólnie szczeliny i wulkany, nie ma w tym nic naprawdę zaskakującego. Nawiasem mówiąc, nie wiemy, czy ta szczelina, na której stoimy, ma takie samo wypełnienie. Lepiej zacznijmy wiercić z powrotem w dół, żeby się co do tego upewnić. Przynajmniej będziemy mieli jakieś pojęcie o dacie wpływu wulkanicznego, w porównaniu do orogenezy, która wypchnęła blok górski, w którym obojujemy. Jeśli tutaj też jest tuf, będzie to potwierdzenie tezy, że wulkanizm ma wcześniejszy charakter.

— Dlaczego? Czy popiół nie mógł się osadzać, zarówno tutaj jak i tam, w tym samym czasie?

— Mógł. Ale założyłbym się o całkiem sporą sumę, że tuf, który widzieliśmy w kanionie, pochodził ze strumienia błota, a nie z opadającego popiołu, unoszącego się w powietrzu. Nie mógł on dotrzeć jednocześnie na szczyt klifów – czyli właściwie na przeciwną stronę gór, gdzie pracuje Sulewayo – i na ten obszar.

— Może pochodzą z różnych erupcji? Odnoszę wrażenie, że ta planeta ma pewną tendencję do tworzenia się pól wulkanicznych, a nie pojedynczych stożków czy strumieni lawy.

— Być może. Prawdopodobnie rozstrzygnie tę kwestię chemia.

Pod koniec drugiej części tej dyskusji Lampert ponownie skierował kreta w dół, i co pół metra, do ich kolekcji dodawany był kolejny rdzeń. Na głębokości sześciu i pół metra pod ziemią pojawiła się pierwsza twarda próbka; pozostałe trzymały się razem tylko dzięki korzeniom. Ten rdzeń jednak sprawił, że obaj naukowcy popatrzyli po sobie. Lampert przytaknął

powoli, z uśmiechem. Mitsuitei wzruszył ramionami, a na jego zwykle beznamietnej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

Rdzeń był z tufu, ewidentnie identycznego jak ten z położonych po wschodniej stronie gór klifów. Zawierał nawet skamieliny.

— **Z**daje się, że równie dobrze cały ten wykop może przejąć nasz dział paleontologii — skomentował w końcu Lampert. — Przypuszczam, że będą chcieli przynajmniej porównać skamieniałości w warstwach położonych skośnie i równych.

— Sądzę, że tak. — Mitsuitei w kółko obracał mały cylinder w swojej dłoni. — Powiedz mi, Rob, co to jest ta mała zielona plamka?

— Myślę, że to sole miedzi, tego czy innego rodzaju. — Lampert nie wykazywał zbytniego zainteresowania. — W obrębie warstwy materiału wulkanicznego i pod nią, tworzy się wiele minerałów pochodnych. Na tej planecie, węglany takie jak malachit, powinny tworzyć się stosunkowo często.

— Tylko dlaczego miałyby tworzyć regularne włókna, podobne do tego?

— Masz na myśli, żyły? Trudno dokładnie powiedzieć. Różne tempo przesączania się wody, różne stopnie przenikania tlenu lub dwutlenku węgla, różne stopnie zwartości skały, w której tworzy się ten materiał

— Nie mam na myśli żył. Tutaj mamy cylindryczne włókno przechodzące przez rdzeń prosto, z jednej strony na drugą, tak jakby pierwotnie znajdował się tam miedziany drut, który został wytrawiony przez kwasy w glebie.

— Zobaczmy. Masz rację. To raczej nie jest zwykła żyła, choć twoja sugestia wydaje się być nieco przesadzona. Paleontolodzy zapewne będą w stanie podsunąć jakiś pomysł. Może jakieś pnące lub nawet robak, zagrzebane w strumieniu błota, zadziałało jako czynnik wytrącający sole miedzi podczas późniejszego przesączania się – widziałem już kiedyś piękne piritowe skamieniałości, które powstały w ten właśnie sposób.

— Ale to nie wykazuje żadnych śladów jakiegś struktury, poza zewnętrznym kształtem.

— Czy naprawdę dobrze zachowana struktura nie jest w skamieniałościach raczej wyjątkiem niż regułą?

— Przypuszczam, że tak. Mimo to, chciałbym wiedzieć jak daleko i w jakim kierunku ciągnie się ta zielona nić. Chciałbym również wiedzieć, czy w tej skale występują rozcieńczone złoża miedzi, które mogłyby skondensować w sposób, w jaki sugerujesz.

— Pierwszej rzeczy można się dowiedzieć, pobierając wystarczającą ilość rdzeni. Druga sprawa wymagałaby bardzo starannej analizy próbek, które zostały wybrane, bardzo uważnie patrząc na stratyografię. Wiesz o tym; musiałeś robić tego rodzaju rzeczy od czasu do czasu, szukając próbek do datowania węglem c czternaście.

— Tak, rozumiem to. Czy mógłbyś zrobić takie analizy tutaj?

— Nie, z wyjątkiem zwykłego stwierdzenia obecności miedzi. Rdzenie musiałyby polecieć do dobrze wyposażonego laboratorium. Jeśli jednak chcesz je pobrać, to nie ma sprawy. Problemy są po to, aby je rozwiązywać. Przyznaję, że ten nie wydaje mi się zbyt ekscytujący, ale po tym jak skończysz, mogę wykorzystać twoje dane, do swojej własnej pracy. Powinieneś zdobyć materiał składający się na całkiem kompletny obraz geochemiczny tej okolicy. Mam pobrać dla ciebie te rdzenie?

— Tak, proszę.

— Głupie pytanie. Dobra.

Kret został wycofany na niewielką głębokość i ponownie posłany w podróż na dół, pod kątem do pierwotnego wykopu, odchodząc w bok w niewielkiej odległości powyżej poziomu, z którego pochodziła znaleziona miedź. Proces ten powtarzano raz po raz, za każdym razem posyłając kreta w nieco inną stronę od centralnego wykopu, a Mitsuitei sprawdzał uważnie każdy rdzeń w poszukiwaniu śladów zieleni. W końcu je znalazł, przechodziły prosto przez mały cylinder skały, tak jak było to w przypadku poprzedniej próbki. Wtedy, zgodnie z jego sugestią archeologa, Lampert przestawił kreta, aby uzyskać próbkę z przeciwnego kierunku niż ten, który dostarczył nowego znaleziska.

Ta również dała wynik pozytywny, a cztery kolejne próbki, pobrane wzdłuż tej samej linii, w różnych odległościach, wykazywały taki sam rezultat.

Najwyraźniej zielona linia rozciągała się na pewną odległość, mniej więcej równolegle zarówno do powierzchni ziemi, jak i do kierunku pęknięcia, w którym była zakopana. Mitsuitei rozpromienił się.

— Mam zamiar zejść do tego poziomu, nawet choćbym musiał wrócić tu z ekspedycją zupełnie sam! Jeśli to jakiś skamieniały robak, to i tak warto zdobyć całą jego długość – ale nie wierzę, żeby to była prawda. Ja...

— To zajmie bardzo dużo czasu, wiesz przecież — zauważył łagodnie Lampert.

— Oczywiście, że wiem! Nawet jeśli użyję tej twojej szybkiej koparki aż do poziomu tufu, to od tej chwili dalej będę musiał wykonywać prace w drobiazgowy sposób. Co z tego?

— No cóż, inni też mogą mieć jakieś prace, które będą chcieli wykonać...

— Więc mogą je sobie wykonywać! Po co my w ogóle tutaj jesteśmy? Myślałem, że po to, aby zbadać przeszłość tej planety! Ndomi i Hans robią to teraz, na swój własny sposób. Dlaczego ja nie mogę? Jestem archeologiem i przybyłem tu, aby wykonać wszelkie prace archeologiczne, które się przed nami pojawiają; a to jedyna tego rodzaju rzecz, jaką ktokolwiek z nas do tej pory napotkał. Wiem, co sobie myślisz. I może nawet częściowo masz rację. Z pewnością nie założę się o żadne pieniądze, że ta nitka zieleni to jakiś kopalny drut telefoniczny; ale jest to równie prawdopodobne, jak wszystko inne co sugerowałeś, i mam zamiar zejść na ten poziom oraz przeczesać całe to miejsce. Hans i Ndomi mogą

sobie wziąć wszystkie skamieniałości, jakie znajdę, jeśli to ci sprawi przyjemność – a jeżeli któryś z nich powie, że nie ma żadnego pożytku ze skamieniałości, których sam nie wykopał, to wepchnę mu te słowa z powrotem do gardła. Potrafię zidentyfikować, zlokalizować i opisać wszystko co się w tej skale pojawi, równie dobrze jak każdy z tych zakichanych łamigłówków; a jestem w stanie wykonać to również i w mule, a to więcej niż którykolwiek z nich umiałby zrobić.

— Nie gorączkuj się tak pod czupryną. Jeśli możesz, to pomóż przy pracy nad tą planetą. Mówisz tak, jakby któryś z chłopaków urządził ci jakieś wykłady na temat znaczenia wiedzy o tym, z jakiej warstwy pochodzi dana seria okazów.

— Nie, żaden z naszych chłopców – oni mają odrobinę więcej rozsądku. Ale był pewien młody paleontolog, kiedy zajmowałem się planetami Antaresa, którego wspomnienie wciąż sprawia, że ciśnienie krwi idzie mi w górę aż miło. Mniejsza jednak o mnie; to nie jest ważne. Ale chcę zrobić ten wykop.

— To będzie wiązać maszyny, pomimo że czasem możemy dysponować dosyć swobodnie — powiedział powoli Lampert. — Powiem tak, co powiesz na to? Poświęcimy resztę dnia na pozyskanie rdzeni z innych punktów wzdłuż tych pęknięć. Po pierwsze, powinniśmy dowiedzieć się więcej o strukturze wzgórza, a po drugie, może znajdziemy więcej tych twoich „drutów”. W końcu szansa, że trafiliśmy na jedyny w całej okolicy, jest niewielka. Nie bardzo wierzę, żeby w ciągu pierwszych dwóch dni realizacji takiego projektu, mógł zostać odkryty jedyny porzucony kawałek miedzianego drutu.

— Ani nie powiedziałem, ani nie sugerowałem, że to miałyby być jedyny kawałek. Nie wątpię ani przez chwilę, że są jeszcze inne, czy to druty, czy robaki.

— Przepraszam. No cóż, dziś wieczorem zabierzemy te rdzenie z powrotem do obozu, razem z innymi tego rodzaju, które jeszcze znajdziemy, i niech Hans i Ndomi je sobie przejrzą. Jeśli nie okaże się to czymś, co chłopcy rozpoznają i będą w stanie od razu sklasyfikować, wrócimy tutaj jutro z całym sprzętem do kopania, jaki tylko chcesz, i będziemy kopać tak długo, aż albo znajdziesz wszystko co chcesz, przekonasz się że nic tu nie ma, albo znajdziesz coś co ewidentnie wymaga bardziej specjalistycznej uwagi, niż my będziemy mogli temu poświęcić. W porządku?

— Nie mogłoby być bardziej sprawiedliwie. Ruszajmy!

Tego wieczoru dyskusja w obozie była ożywiona znacznie bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej słyszał to przewodnik. Jego pierwotna ocena tych ludzi, jako osobników stosunkowo spokojnych, uległa poważnej rewizji. Raport Mitsutei z dnia pracy na jego stanowisku był, co prawda, jeszcze dosyć spokojny, ale od tego momentu sprawy zaczęły stopniowo nabierać tempa. Nie było to spowodowane sprzeciwem wobec planów archeologa. Wszyscy pozostali byli za pozostaniem na wzgórzu, z własnych powodów.

Jednak pytanie o to, co można było tam odnaleźć, wywołało ze strony Sulewayo dosyć ostre komentarze.

— Nie rozumiem, jak można oczekiwać, że znajdziecie tam jakiegokolwiek ślady cywilizowanego działania — oznajmił w pewnym momencie stanowczo. — Życie zwierzęce i roślinne tej planety znajduje się na etapie ewolucji odpowiadającym czemuś podobnemu do ziemskiej epoki pensylwanu, kiedy to najwyżej rozwiniętymi znanymi formami życia były płazy. Nie twierdzę, że nie może istnieć coś takiego jak inteligentny płaz. Ale uważam, że normalny układ sił ewolucyjnych, który zarówno na Ziemi, jak i na Viridis wytworzył istoty o wzorcu płaza, mógł albo stworzyć je, albo wytworzyć inteligentną rybę, ale nie obie rzeczy na raz. Jeśli te ostatnie kiedykolwiek próbowały wyewoluować, to nie udało im się to; ponieważ płazy – wybaczcze mi, płazoidy – istnieją tutaj. Powstanie inteligentnego płaza na tej planecie będzie – lub może będzie, jeśli tutejsze słońce przetrwa wystarczająco długo – wymagało kolejnego okresu orogenicznego z towarzyszącymi mu zmianami klimatu. Wtedy jednak będą znacznie większe szanse na pojawienie się zamiast tego gadów, jeśli prace porównawcze wykonywane na ponad czterystu planetach, mają jakikolwiek sens.

— Absolutnie nie wątpię w wartość tych prac. Bardzo prawdopodobne, że masz rację. Nawet mi do głowy nie przyszło, by spodziewać się odnalezienia szczątków inteligentnych płazoidów. Nie widziałem powodu, żeby z góry zakładać, iż jakiegokolwiek rodzaju artefakty, które mógłbym tam odnaleźć, musiałyby koniecznie pochodzić z tej planety.

— Sądzisz, że byli tam jacyś inni przybysze spoza układu Beta Librae?

— Możliwość taka z pewnością istnieje. Przecież jesteśmy tu my.

— Ale na litość Boską! Czy naprawdę spodziewasz się, że pozostali na planecie na tyle długo aby zbudować miasto, czy może myślisz, że znalazłeś pozostałości obozu podobnego do naszego?

— Ja nic nie myślę. Pojawiały się już sugestie, że takie istoty tu przyleciały i pozostały wystarczająco długo, aby...

— A ty uważasz, że je znalazłeś.

— Nie uważam niczego, poza tym, że z pomocą Roba znalazłem coś, czego ani jego profesjonalna wiedza, ani moja, ani nawet twoja, nie są w stanie wyjaśnić; i myślę, że przydałoby się takie wyjaśnienie znaleźć. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za nieuprzejmość, jeśli zwrócę ci uwagę, że za każdym razem gdy próbowałeś oskarżyć mnie o wyciąganie pochopnych wniosków, mogłeś to zrobić jedynie poprzez wyciągnięcie takich wniosków samemu. Mógłbym jeszcze dodać, że sugestia, iż ta planeta została wyposażona w obecny zestaw form życia przez przybyszy z kosmosu, została wysunięta przez paleontologa, a nie przez żadnego z moich kolegów. Jak rozumiem, nie potrafił on zrozumieć, jakim cudem życie mogło wyewoluować do stanu, w którym znajduje się obecnie, w ciągu zaledwie trzydziestu kilku milionów lat, w czasie których planeta wydaje się mieć stałą skorupę. Ani nie popieram ani nie wyśmiewam tego pomysłu; po prostu chcę zebrać dane, próbując odpowiedzieć na znacznie prostsze pytanie – dlaczego w tufie wulkanicznym wypełniającym pęknięcia w pewnym wapiennym wzgórzu, co parę stóp można znaleźć

wąskie włókna związków miedzi, i dlaczego włókna te zawsze położone są prawie poziomo? Ty i Hans twierdzicie, że nie są to skamieniałości organiczne, i ja akceptuję wasz wniosek. Rob twierdzi, że w odległości większej niż kilka milimetrów od zielonych włókien, w tej skale nie ma miedzi, którą można by wykryć za pomocą jego sprzętu. Nie twierdę niczego poza tym, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. W tych okolicznościach nie rozumiem, skąd pomysł, że uważam, iż pod tym wzgórzem jest pogrzebane miasto zbudowane przez istoty, które zasiedliły ten świat trzydzieści milionów lat temu. Wiem, że powiedziałem „miasto”, kiedy je zobaczyłem po raz pierwszy, i nadal uważam, że przekonanie to było uzasadnione; teraz jednak otrzymałem dowody, które powodują, że muszę przyznać, iż dziwny układ roślinności nie został spowodowany przez sztuczne struktury, i odrzucam swoją pierwotną hipotezę. Nadal chcę tam kopać i zgodnie z umową z Robem, będę tam kopał, ze wsparciem każdego, kto zdecyduje mi się pomóc. Wiem, że ty chcesz wrócić do swojego zestawu kości nóg na klifie i nie mam nic przeciwko temu, żebyś to zrobił. Nawet ja jestem teraz w stanie pojąć, na podstawie twojego opisu, że odkryłeś skamielinę zwierzęcia lądowego; i zgadzam się, że bardzo ważne jest, aby wydobyć ją w nienaruszonym stanie, jeśli to tylko będzie możliwe. Ale skoro ja potrafię dostrzec znaczenie, a nawet charakter twojej pracy, dlaczego ty nie jesteś w stanie zrobić tego samego w stosunku do mojej?

Mały człowieczek, kiedy skończył tę tyradę nachylił się do przodu i wpatrywał się intensywnie w twarz Sulewayo, a Ndomi po raz kolejny poczuł odrobinę wstydu. Lampert jednak oszczędził mu konieczności wygłaszania przeprosin.

— **J**estem pewien, że Ndomi nie chciał w żaden sposób ośmieszać twojej pracy, Take — powiedział. — Wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę, że tego rodzaju podziemne zjawisko, którego tak na pierwszy rzut oka, nie potrafimy wyjaśnić ani na podstawie wiedzy geologicznej, paleontologicznej, ani archeologicznej, wymaga dokładniejszego zbadania. Wyobrażam sobie, że najlepiej będzie, jeżeli String i ja polecimy jutro z tobą, podczas gdy inni będą kontynuować prace nad wydobywaniem ze skały tego zwierzęcia. Hans, jak daleko z tym zaszliście?

Starszy paleontolog zastanawiał się przez chwilę.

— Tak naprawdę, to nie wiemy — stwierdził w końcu. — Oczywiście, nie będziemy nawet próbować w pełni wydobywać poszczególnych kości z matrycy skalnej; to zajmie komuś całe miesiące lub wręcz lata. Odsłaniamy tylko tyle, by określić rozmiar okazu, abyśmy mogli wyjąć go w jednym bloku – lub większej ich liczbie, oczywiście, jeśli okaże się zbyt duży. Jak na razie możemy tylko zgadywać, jaka jest wielkość znaleziska. Odsłoniliśmy z pewnością dwie stopy i przeszliśmy około pół metra wzdłuż jednej z łączących się z nimi nóg. Wydaje się, że sięga ona prosto w głąb klifu, więc w efekcie wycinamy tunel obok tego stworzenia. Zakładając, że nogi miało zbudowane z dwu głównych sekcji, jak większość

współczesnych zwierząt na Ziemi i Viridis, jesteśmy mniej więcej w połowie drogi między stawem kolanowym a biodrowym. Oczywiście może też się okazać, że jest to jakiś viridiański odpowiednik konia lub kury. W takim przypadku jesteśmy mniej więcej w połowie drogi między kostką a kolanem. Z pewnością pozostało nam jeszcze kilka stóp do spenetrowania, zanim będziemy mogli opisać ogólnie cały blok, zakładając, że okaz jest mniej więcej kompletny. Kilka dni, tak bym powiedział.

— Czy do ciecia możesz użyć jakichś urządzeń mechanicznych?

— Niechętnie z nich korzystam, tak w ogólnym przypadku, ale – tak, właściwie moglibyśmy, z bardzo niewielkim ryzykiem. Jeśli masz jakiegoś rodzaju piłę do skał, której część tnąca może być precyzyjnie kontrolowana, byłbym skłonny użyć jej do wycięcia części tunelu z dala od właściwego okazu.

— Mam. Podrzucimy cię na miejsce z samego rana, a ja zejdę z tobą na dół i pokażę ci, jak jej używać, zanim polecimy dalej z Take i Stringiem.

— Kto będzie utrzymywał helikopter w miejscu, podczas gdy ty zejdziesz po drabince, przeskolisz go i wrócisz? — spytał przewodnik.

— Hmm. Zapomniałem o tym. W porządku, wyciągnę maszynę i pokażę ci jak z niej korzystać, już teraz.

Wstał i ruszył do helikoptera. McLaughlin osłaniał go w drodze od ogrodzenia do pojazdu, ale nie pojawiło się nic groźnego. Geofizyk zniknął w środku maszyny, a po chwili wrócił z kompaktową metalową walizką pod pachą. Przewodnik odłożył broń, dopiero gdy brama w ogrodzeniu zamknęła się ponownie...

W rzeczywistości felodon znajdował się wiele mil stamtąd, w dole rzeki. Spędził cały dzień w wybranym przez siebie legowisku, najwyraźniej obojętny na poczynania ludzi, mające miejsce kilkaset metrów dalej. Wraz z nadejściem ciemności – tym razem prawdziwych ciemności, gdyż deszczowe chmury odcięły blask zarówno światła księżyca, jak i nocnej poświaty z górnych warstw atmosfery – wyłonił się z niego, polował, zabijał i żywił się jak wcześniej, najwyraźniej nie niepokojony przez brak światła. O północy był już z powrotem w swoim legowisku, z rozdętym brzuchem, tak bliski senności, jak tylko jego zimnokrwisty gatunek był w stanie.

VI

Kiedy chmury ponownie rozjaśniły się w świetle wschodzącego słońca, deszcz wciąż jeszcze padał. Lampert przyzwyczał się już do nawigowania w kanionie za pomocą radaru, a poza tym był doskonałym pilotem, więc nie miał zbyt wielu problemów ze zlokalizowaniem półki, na której pracowali Sulewayo i Krendall. Zejście na nią po drabince nie było szczególnie trudne, choć dosyć wyczerpujące nerwowo. Krendall schodził pierwszy, nie obciążony niczym poza osobistym ekwipunkiem. Potem

przytrzymał drabinę dla Sulewayo, który miał przewieszoną przez ramię przecinarkę. Stabilizujący uchwyt był bardzo przydatny. Schodzenie po drabinie linowej, gdy jest się obciążonym „po czubek głowy”, może być bardzo kłopotliwym zadaniem. Gdyby w górze mieli choćby odrobinę mniej sprawnego pilota, prawdopodobnie byłoby to w ogóle niemożliwe.

Występ skalny był mokry, ale na szczęście nie był szczególnie śliski. Mężczyźni ustawili na nim swój sprzęt, w miejscu gdzie ich wycięcie wchodziło w szczelinę w skale, i bez zwłoki zabrali się do pracy. Tunel był już na tyle głęboki, że mógł ochronić przed deszczem osobę, która go drażyła, więc początkowo wykonywali tę pracę na zmianę.

Maszyna do cięcia, którą dostarczył im Lampert, była rodzajem piły łańcuchowej o diamentowych zębach, zdolnej do zagłębiania się w skałę na dwa metry. W normalnych warunkach paleontolog nawet by nie rozważał użycia jej tak blisko okazu, ale naukowcy byli już dosyć pewni ogólnych rozmiarów skamieliny, którą wydobywali.

Mimo to, używali piły wyłącznie po tej stronie tunelu, która znajdowała się dalej od widocznych szczątków. Szybko poszerzyli przejście na tyle, by obaj mogli wejść do środka i pracować na powierzchni odsłoniętej skały, ale nadal używali narzędzi ręcznych, kiedy tylko pojawiała się jakiegokolwiek podejrzenie, że może gdzieś pojawić się kość. Praca postępowała jednak kilkakrotnie szybciej niż poprzedniego dnia.

Próbowali wyciąć kolejny tunel po przeciwnej stronie skamieliny, ale okazało się to dość kłopotliwe. Stworzenie znajdowało się blisko tej strony szczeliny i trzeba było ciąć zarówno miękki tuf, jak i znacznie twardszy wapień. Piła okazała się być w stanie poradzić sobie z tym – bez żadnego problemu poradziłaby sobie nawet z granitem – lecz robota szła nieco wolniej. W końcu jednak obaj mężczyźni rozpoczęli prace po przeciwnych stronach skamieliny, każdy w tunelu sięgającym około dwóch metrów w głąb skały.

Pół dnia pracy odsłoniło kości nogi stworzenia, w stopniu wystarczającym, by potwierdzić, że pierwsze domysły Krendalla były słuszne. Noga miała tylko dwa główne stawy, każda sekcja między nimi była nieco krótsza niż odpowiadające jej części szkieletu ludzkiego. Dolna część nogi była jednak pojedyncza, a nie podwójna; kolano i kostka miały stawy kuliste, a po ustaleniu tego faktu naukowcy zatrzymali się, aby się zastanowić.

— Dlaczego — zastanawiał się Krendall, — jakakolwiek istota miałaby potrzebować takiego układu?

— Czy ta „stopa” nie mogłaby być zamiast tego dłonią? — zapytał Sulewayo.

Oczywiście, pytania tego typu powinny były poczekać na wyniki szczegółowych badań w laboratorium. Równie oczywiście, obaj mężczyźni przystąpili do nieco dokładniejszego oczyszczenia jednej ze „stóp”, aby samemu się o tym przekonać. Odpowiedź nie była jednak specjalnie pomocna.

— Mogłoby nią podnieść gałązkę, ale nie byłoby w stanie trzymać jej mocniej niż ja potrafię to zrobić palcami u nóg — brzmiał werdykt

Krendalla. — To większa i bardziej płaska stopa niż nasza. Ale to stopa – nic więcej.

— Może to jakiś organ do pływania, na boku tułowia? — zasugerował ostrożnie Sulewayo.

— Wydaje się to wątpliwe. Gdyby ten staw wyewoluował w takim celu, myślę, że nastąpiłaby również odpowiednia modyfikacja w kościach stopy – powiedzmy jakieś spłaszczenie, takie jak widzimy w wiosłowych łapach niektórych mezozoicznych gadów morskich z Ziemi.

— Sensowne.

— Ale niekoniecznie słuszne. Przyznaję to. Czy coś jeszcze cię zastanawia?

— Tak, choć czyni to kwestię tych stawów, jeszcze bardziej niewiarygodną.

— Co?

— Sama stopa. O ile nie doszło do jakiegoś niezwykle zniekształcenia, miała ona zarówno podłużne jak i poprzeczne łuki, tak jak twoja stopa i moja – co sugeruje, że przodkowie tego stworzenia chodzili wyprostowani na dwóch nogach przez jakieś parę setek tysięcy pokoleń.

Krendall uniósł na te słowa brwi i w milczeniu przez kilka minut badał leżącą przed nimi strukturę kostną.

— Nie zauważyłem tego — powiedział powoli.

Przyglądał się w milczeniu jeszcze przez kilka sekund. Następnie obaj mężczyźni, jakby poruszeni jedną myślą, przeszli na drugi koniec odsłoniętej nogi i zaczęli oczyszczać staw biodrowy i okolice miednicy. Pracowali niemal bez słowa, rozumiejąc się doskonale, jak doświadczony zespół chirurgiczny; i stopniowo odpowiednik obręczy miednicznej oraz dolny koniec kręgosłupa zostały oczyszczone na tyle, by zaprezentować swą ogólną naturę.

Właśnie w tej chwili powrócił helikopter; jednak żaden z dwójki naukowców nie zauważył tego faktu, dopóki McLaughlin nie krzyknął na nich kilka razy z otwartego wjazdu drabinki. W ciszy i w zamyśleniu wspięli się do unoszącego się pojazdu; ale już pierwsze pytanie Mitsuitei rozpoczęło ożywioną rozmowę.

Nie kończyła się ona przez długi, długi czas.

Krendall, z trudem, powstrzymywał swego bardziej rozemocjonowanego towarzysza.

— Można mieć tylko bardzo niewielkie wątpliwości, że to stworzenie, które odkopujemy, chodziło wyprostowane na dwóch nogach — relacjonował. — Stopy; sposób w jaki miednica uległa modyfikacji aby podtrzymywać narządy wewnętrzne; połączenie najniższych kręgów z obręczą miedniczną w celu utworzenia podstawy podtrzymującej ciężar – wszystko wskazuje na to samo. Jedyną rzeczą trudną do zrozumienia jest kwestia stawów kolanowych i skokowych. Gdybyśmy to my takie mieli, byłoby praktycznie niemożliwe, abyśmy mogli utrzymać nogi sztywno. Być może jakaś naprawdę niezwykła muskulatura...

— Albo struktura chrząstkowa, która się nie zachowała — wtrącił Sulewayo.

— Albo coś innego, w tym rodzaju, mogłoby to wyjaśnić. Nie wiem. To stworzenie mogłoby stanowić podstawę dla kilku prac doktorskich, tak jak leży – i prawdopodobnie dla takiej samej liczby załamań nerwowych, kiedy już je wydobędziemy.

— Ja sam bardzo chętnie zobaczyłbym jego czaszkę — zauważył Lampert. Sulewayo popatrzył na niego ostro.

— Ty też? — spytał młody paleontolog. — Miałem nadzieję, że tylko ja jestem na tyle szalony, by o tym pomyśleć.

Mitsuieiti otwarcie się uśmiechnął, co jak na niego było czymś niemal niespotykanym. Na razie, nic nie powiedział, ale wszyscy zauważyli jego minę; i nawet McLaughlin zrozumiał tę sugestię. Po dostatecznie długiej przerwie, zadał pytanie.

— Czy odsłoniłście wystarczająco dużo z ciała tego stworzenia, by móc się domyślać jakiegoś ewolucyjnego związku – lub jego braku – z płazoidami, które już znamy na tej planecie?

— Nie lubię wygłaszać pochopnych opinii — odpowiedział Krendall. — Nogi, których większą część już odkopaliśmy, różnią się w szczegółach; ale przynajmniej ogólnie odpowiadają temu, co znajdujemy tutaj. Jedynym naprawdę znaczącym elementem jest pojedyncza kość goleniowa. Przypomina ona w tym, generalnie, viridiańskie życie lądowe – zwierzęta te nie posiadają oddzielnych kości piszczelowej i strzałkowej charakterystycznych dla zwykłej budowy ziemskich kręgowców lądowych. To oczywiście nie dowodzi niczego odnośnie sprawy, o której wszyscy teraz myślimy.

— Kusi mnie, żeby jutro popracować z wami panowie — mruknął archeolog.

— Dlaczego? Czy wasze badania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów?

— Trudniej jest mi to stwierdzić niż wam, jak na razie. Wykopanie dołu, wystarczająco dużego nie tylko do pracy, ale i do pokrycia użytecznej powierzchni terenu, i to w ulewnym deszczu, to nie lada zadanie nawet przy wykorzystaniu maszyn Roba – których nigdy bym nie użył, gdybym nie był pewien, że powyżej poziomu wapienia nie ma niczego istotnego. Dotarłem do skały na obszarze trzech metrów kwadratowych, co jest bardzo dobrym wynikiem, ale bez wątpienia jutro rano zastanę dół pełen wody, ponieważ nie zaimprovizowaliśmy jeszcze naprawdę zadowolającego systemu odwadniającego. Nie mogę – a przynajmniej nie będę – używać maszyn wewnątrz szczeliny w wapieniu; minie więc trochę czasu, zanim dobiórę się do naszych tajemniczych zielonych nici.

— A więc, wydaje się, że najlepsze co możemy zrobić, to kontynuować te prace, które już rozpoczęliśmy — podsumował Lampert. Jedyna zmiana jaką można by wprowadzić, to zabrać jeszcze jednego człowieka do pomocy przy wykopie Take. Ale nie przypuszczam, żeby Hans lub Ndomi chcieli w tej chwili porzucić swoją pracę, a tak naprawdę na wzgórzu nie ma o wiele więcej do zrobienia, co mógłby zrobić ktokolwiek poza samym

Take. Będę mu pomagał tak długo, jak długo będzie chodziło o przenoszenie ziemi, ale potem sam będzie musiał zająć się przeczesywaniem skały. String automatycznie musi pełnić obowiązki wartownika na wzgórzu, więc niewiele możemy zmienić. Choć muszę przyznać, że w tej dżungli nie dostrzegłem jeszcze nic niebezpiecznego.

— Te zwierzęta są jak wrony — zauważył przewodnik. — Było ich pełno, dawno temu na farmie, na Ziemi. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, siedziały wszędzie na świeżo obsadzonym polu. Jeśli wyszło się z krzykiem – nawet się nie ruszyły; ale gdy ktoś wyszedł z bronią, to już ich nie było – chyba, że zapomniało się ją załadować; wtedy siedziały i śmiały się z ciebie. Jeżeli sugeruje pan, panie doktorze, że powinienem rozluźnić swoją straż i pomóc przy kopaniu, to zawetuję ten pomysł – i wcale nie dlatego, że boję się pobrudzić sobie ręce.

— **N**ie powiem, że nie przeszło mi coś takiego przez głowę, ale akceptuję twoją władzę — uśmiechnął się Lampert.

Na chwilę zapanowała cisza; potem Krendall powrócił do wcześniejszego tematu.

— Wiecie — powiedział, — nawet jeśli to stworzenie, które znaleźliśmy, okaże się być inteligentne, to raczej nie rozwiąże to żadnego z istniejących problemów dotyczących Viridis.

— Dlaczego nie? — spytał Sulewayo z pewnym zdziwieniem.

— Nadal nie będziemy wiedzieć, czy ma ono charakter rodzimy dla planety, czy nie, chyba że zdołamy ustalić względnie kompletną sekwencję ewolucyjną prowadzącą do tej formy życia. Jeśli nam się to uda, to kwestia szybkości ewolucji na Viridis stanie się jeszcze trudniejszym problemem niż przedtem; jeśli się nie uda, ciągle nie będziemy pewni, czy powinniśmy szukać tutaj zakopanych portów kosmicznych, albo czy wysyłać ekspedycje w celu odnalezienia planety, z której mogły one pochodzić.

— To ostatnie byłoby raczej stratą czasu — zauważył McLaughlin. — Próby znalezienia jednej planety w galaktyce są jak poszukiwania jednej kłody drewna na Viridis.

Nikt temu nie zaprzeczył. Wszyscy widzieli galaktyczne obłoki gwiazdne spoza atmosfery planetarnej.

— Wydaje mi się, mówiąc jako amator w waszych dziedzinach nauki, panowie — stwierdził Mitsuitei — że już samo odkrycie inteligentnej istoty w viridiańskich złożach skamielin, na podstawie naszej obecnej wiedzy o mechanizmach ewolucji, silnie wspierałoby koncepcję, że ta planeta została obsadzona życiem z innych. Zdaję sobie sprawę, że nasza wiedza może nie być wystarczająca, aby uzasadnić ten wniosek. Ale z pewnością nie jest wystarczająca, aby uzasadnić jakikolwiek inny.

— Wygląda na to, że coś w tym jest, Take — przyznał Krendall. — Jeśli to stworzenie rzeczywiście okaże się mieć w swojej czaszce dostatecznie dużo miejsca na mózg, przypuszczam, że następne dziesięć zjazdów

Międzygwieźdnego Towarzystwa Archeologicznego, czy jakkolwiek by się ono nie nazywało, będzie miało miejsce w Emeraude.

— W ogóle nie byłbym zaskoczony. Jak dotąd, moja i twoja profesja nie pokrywały się ze sobą, ze względu na znaczny czynnik różnicy w rozpiętości czasowej. Ale naprawdę możliwe jest, że będziemy odbywać wspólne spotkania, w przypadku, który opisałeś.

— To spotkanie dryfuje od dyskusji w stronę spekulacji — stwierdził sucho Lampert. — Jestem ostatnim, który potępiłby wartość wyobraźni; ale prawdę mówiąc tak samo prawdopodobne jest, że w wyniku naszej pracy tutaj staniemy w obliczu potrzeby postawienia całkowicie nowych hipotez, jak i że znajdziemy wsparcie dla którejś z obecnie istniejących. Mogę spekulować z wami w najlepsze, ale na miłość Boską, nie traktujmy tych spekulacji zbyt poważnie. Nie za bardzo wierzę, że jacyś wielkogłowi potomkowie skamieliny Ndomiego w tej chwili nas podsłuchują!

Nawet Sulewayo przyznał, że jest to raczej mało prawdopodobne i rozmowa zeszła na inne sprawy, aż wreszcie zapadł zmrok.

Nikt nie miał problemów z zaśnięciem. Głośne bębnienie deszczu o metalowy dach nie miało znaczenia dla pracowników terenowych z ich doświadczeniem. Wręcz przeciwnie, dźwięk ten działał kojąco, przypominając o istnieniu dachu. Taka ochrona nie zawsze bywa dostępna w tej branży...

Felodon najwyraźniej stracił ochotę do podróżowania. Znów wyszedł z legowiska w całkowitych ciemnościach, tylko po to by się posilić. Udało mu się to tak samo szybko i sprawnie jak zawsze, choć jego oczy musiały być bezużyteczne, a syk i huk spadającej wody zagłuszał i pochłaniał wszelkie dźwięki, które mogłyby być przydatne w tropieniu. Wrócił do tego samego legowiska najedzony i zasnął ponownie.

VII

Mitsuitei miał prawie rację w swojej przepowiedni, że wykop będzie pełen wody. Uratował go przed tym tylko fakt, że teren był nieco nachylony – nie znajdowali się na samym szczycie niewielkiego wzgórza. W obecnym stanie rzeczy, na dnie wykopu było kilka stóp wody, a z dwóch boków, które położone były wzdłuż krawędzi szczeliny, spłynęło do niego sporo błota. Pozostałe dwa, znacznie lepiej wzmocnione przez głęboko powrastane korzenie, trzymały się mocno.

Po chwili namysłu Lampert ponownie użył małego robota. Uruchomił go na dnie wykopu po stronie spadku i skierował go prawie poziomo w stronę rzeki. Dwieście metrów przewodu pozwoliło kretowi wyłonić się ze zbocza znacznie dalej w dół. Gdy go wycofano, uzyskano niewielki otwór odwadniający. Wywiercono ich jeszcze parę, i dół dość szybko został osuszony z wody.

Wciąż pozostawał problem dostania się do szczeliny w skale na dnie, co oczywiście wymagało kopania poniżej poziomu otworów odpływowych.

Lampert, używając tej samej koparki, która wykonała sam dół, w końcu znalazł odpowiednie rozwiązanie, tworząc zestaw rowów wokół otworu wykopu; a ponieważ sam dół był dość dobrze chroniony przez zwisające drzewa, Mitsuitei musiał zmagać się jedynie z drenażem z otaczającej go ziemi.

Dwie godziny po przybyciu na miejsce miał więc już względnie czystą przestrzeń do pracy. Na dnie znajdował się wapień, odsłonięty dzięki całkowitemu usunięciu zalegającej na nim gleby, o powierzchni około trzech metrów kwadratowych. W poprzek niego biegła szczelina, szeroka na nieco mniej niż metr, wciąż wypełniona ziemią. Wszystko było całe w błocie – wapień, wystające korzenie i sam Mitsuitei. O jeden z rogów wykopu opierał się cienki pień drzewa z gałęziami przyciętymi na dziesięciocentymetrowe szczęble, tworząc coś w rodzaju drabiny i umożliwiając dostanie się i wydostanie z miejsca wykopalisk.

Z jednej strony dołu stała maszyna, która wykonała pierwotny wykop. Mitsuitei nie spodziewał się, że będzie jej jeszcze potrzebował. Był teraz wyposażony w ręczny szpadel i wyglądało na to, że zaraz go użyje. Lampert, stojący na skraju wykopu, wyczuł niestosowność sytuacji, ale zdołał powstrzymać śmiech.

— Jesteś pewien, że nie przydam ci się do czegoś, tam na dole? — zapytał.

— Obawiam się, że nie. Od tej pory chcę, aby każdy skrawek ziemi przechodził przed moimi własnymi oczyma.

— Czy masz zamiar spróbować wyrzucać to wszystko na górę, jak skończysz?

— Nie. To jest cel dodatkowego miejsca w wykopie, tutaj na dole. Mogę dostać się na sporą głębokość w szczelinie, po prostu zwałując wydobyty z niej materiał na skale. Jest na tyle wilgotno, że można też usypać całkiem stromy stos

— Jak głęboko myślisz, że uda ci się dostać? Szczelina jest dosyć wąska do pracy, a masz jeszcze trzy i pół metra do pokonania zanim trafisz na tuf. To będzie ciężka praca przy pomocy szpadla. Nadal uważam, że mógłbyś bezpiecznie używać maszyny, przynajmniej jeszcze trochę głębiej.

— Bez wątpienia mógłbym, ale nie zamierzam. Chociaż jest jedna rzecz, z której mógłbym skorzystać. Jeśli masz jeszcze jedną z tych pił, jakich używają nasi łamignaci na klifie, to mógłbym poszerzać tę szczelinę, kiedy będę w nią schodził – wycinać w niej jakieś stopnie, aby pomagały mi w wynoszeniu ziemi na dno wykopu, gdy będę dalej w dole.

— To jest dobra myśl, ale nie mam już żadnej. Ale kiedy dostaniesz naprawdę na tyle daleko w dół, aby jej potrzebować, mogę polecić na klif, i zabrać im jedną. I tak mieli zamiar przejść na pracę ręczną.

— W porządku. Oczywiście z pewnością minie trochę czasu, zanim dotrę tak głęboko; może dzisiaj nie będę jej jeszcze potrzebował.

Pochylił się nad swoją pracą.

— Ale co ja mam robić? — spytał Lampert. — Nie mogę odlecieć, by zająć się własnymi projektami, bo String musi tu zostać, żeby pilnować ciebie. Nie mogę dostać się do miejsca, gdzie pracują inni, bo nie dam

radę tam wylądować. Nie mogę siedzieć w helikopterze i kręcić młynki palcami, bo zwariuję, zanim dzień się skończy.

Mitsuitei wyprostował się raz jeszcze i krótko pomyślał.

— Czy nie ma nic w zakresie geofizyki, co mógłbyś zrobić w zasięgu wzroku od tego wykopu? — zapytał w końcu. — Piła i maszyna do kopania nie są jedynymi aparatami, które tu zabrałeś.

— To prawda. Przywiozłem też trochę sprzętu sejsmicznego, choć nie planowałem go używać w tym kierunku. Mógłbym stworzyć mapę formacji skalnej pod tym wzgórzem. Myślę, że te informacje będą przydatne, a spekania będą wymagać całkiem niezłej pracy przy kalibracji. W każdym razie będę miał jakieś sensowne zajęcie.

— Chwileczkę! — Mitsuitei wyglądał na lekko zaniepokojonego. — Czy to znaczy, że chcesz odpalać tu jakieś ładunki wybuchowe? Wolałbym, żeby boki tego dołu trzymały się na czymś lepszym niż korzenie, jeśli masz zamiar to zrobić.

Lampert zachichotał.

— Żadnych materiałów wybuchowych — odparł. — To jest fajny mały gadżet z takim samym robotem, jak próbnik pobierający rdzenie. Wysyła fale dowolnego typu z dowolnej głębokości do dwustu pięćdziesięciu metrów – coś w rodzaju podziemnego sonaru. Nawet nie będziesz czuł, że on działa. Amplituda fal nie jest na tyle duża, aby dało się je wyczuć.

Odwrócił się w stronę helikoptera na brzegu rzeki w dole i zaczynał schodzić w jego kierunku, gdy McLaughlin go zatrzymał. Przewodnik słyszał wcześniejszą rozmowę, i jego pytanie było czysto retoryczne.

— Drogi doktorze, nie planowałeś chyba samotnego spaceru na dół do śmigłowca, co?

— No cóż, w gruncie rzeczy, tak. W końcu nie będę pracował; mogę mieć oczy otwarte, gdy będę szedł. Stąd możesz mnie też widzieć przez większą część drogi.

Raczej ku jego zaskoczeniu, przewodnik zaaprobował te argumenty, po chwili zastanowienia.

— W porządku. Ale proszę cię, trzymaj broń w ręku i miej głowę na karku. Wolałbym, żeby Mitsuitei zszedł z nami na dół, żebyśmy wszyscy byli razem, ale domyślam się jak by zareagował na prośbę o przerwę w pracy, i zdaję sobie sprawę, że ty nie jesteś dzieckiem. Tylko, bądź ostrożny.

Lampert obiecał że będzie; a sposób zachowania przewodnika zaimponował mu do tego stopnia, iż niemalże bał się ruszyć w drogę powrotną, po dotarciu do helikoptera i zabraniu swojego nowego sprzętu. Czuł niemalże zaskoczenie, iż udało mu się wrócić na miejsce, nie będąc narażonym na żaden atak, a bardzo wyraźnie widoczna ulga McLaughlina na jego widok, w niczym nie poprawiła mu samopoczucia.

Zaczął przygotowywać maszynę. Składała się ona z zestawu bardzo podobnego do kreta wiertniczego – małego robota drążącego, ciągnącego za sobą cienki ogon, który nawijał się na bęben otaczający jednostkę

sterującą. W przymocowanych do nich uchwytych spoczywało kilkanaście mniejszych cylindrów.

— Dołączony do niego świder — wyjaśnił Lampert przewodnikowi — schodzi na dowolną, zadaną przeze mnie głębokość, aż do dwustu pięćdziesięciu metrów. Może wytworzyć każdy z trzech normalnych rodzajów fal sejsmicznych, pojedynczo lub w dowolnej kombinacji, z wystarczającą intensywnością, aby można było je wykrywać w zasięgu ponad dwóch kilometrów, w dosyć dobrze przewodzącej skale. Te małe cylindry są to detektory, wyposażone nie tylko w urządzenia do odbioru i analizy fali przechodzącej przez ziemię, ale także do elektronicznego pomiaru swego położenia względem siebie i względem stacji głównej. Mogę użyć ich tyle, ile mi się podoba, aż do pełnego tuzina, ale powinny być one umieszczone tylko odrobinę poniżej powierzchni. Istnieje sprzęt do uzyskiwania odczytów na głębokościach porównywalnych z głębokością nadajnika, ale ja go nie mam. W obecnej sytuacji, dzięki dokładnemu rozmieszczeniu odbiorników, mogę uzyskać całkiem dobry obraz formacji skalnej w promieniu kilometra i na jeszcze większą głębokość, w ciągu dziesięciu minut pomiarów i dziesięciu godzin obliczeń.

— Jak daleko od wykopu planujesz rozmieścić te odbiorniki? — zapytał ostro przewodnik.

— No cóż, nie robiłem jak dotąd żadnych szczegółowych planów w tym zakresie. Chciałbym, aby działały one w liniach po trzy, aby te linie rozchodziły się mniej więcej o piętnaście stopni, a poszczególne cylindry były oddalone od siebie o około dwieście metrów.

— A powiedz mi, jak zamierzałeś je rozmieścić? Domyślam się, że ktoś musi pokonać pieszo, większą część tych czterech kilometrów – czy może te przedmioty potrafią latać, oprócz innych swoich właściwości?

— Eeee... ktoś musi pójść. Pomyślałem, że skoro nie podoba ci się pomysł, abym to ja chodził sam po dżungli, to mógłbym przypilnować Take w dziurze, podczas gdy ty je rozstawisz.

— Hmm. — Przewodnik nie wybuchnął gniewem, ku uldze Lamperta. Naukowcowi nie przyszło do głowy, że praca polegająca na włączaniu się wokół dziury w ziemi, w oczekiwaniu na zwierzęta, które się nie pojawiały, może stać się odrobinę nudna dla człowieka o proweniencji McLaughlina. — Chodźmy najpierw zobaczyć, jak sobie radzi doktor Mitsuitei. Wydaje mi się, że mógłbyś postać nad nim z bronią, przez jakieś pół godziny. Oczywiście, zarośla podchodzą niebezpiecznie blisko wykopu. Może lepiej by je było wypalić, na nieco bezpieczniejszą odległość – ale to chyba nie będzie konieczne. Możesz stanąć tu, gdzie jest w miarę czysto, i widzieć wszystkie podejścia do szybu. Coś może wskoczyć do środka, a ty nie zdążysz tego trafić, ale przynajmniej będziesz to widział i będziesz mógł dotrzeć tam na tyle szybko, aby oddać ewentualny strzał.

Podeszli do otworu i zajrzeli do środka. Mitsuitei ciężko pracował. Na skale leżała spora ilość ziemi, a jakieś dwie trzecie długości szczeliny zostało opróżnione do głębokości może ćwierci metra. Geofizyk zawołał na małego człowieczka i opowiedział mu o planie; Mitsuitei skinął głową i ponownie zabrał się do pracy.

Felodon robił się niespokojny. Nie mógł być jeszcze głodny, ale już był na nogach i warczał cicho, tak samo jak wtedy, gdy helikopter po raz pierwszy zwrócił jego uwagę. Stał może przez minutę, a potem, z tą samą determinacją, jaką wykazywał parę dni wcześniej i wiele kilometrów stąd, zaczął przedzierać się przez zarośla w kierunku rzeki i miejsca wykopalisk.

— **S**tanę tam, gdzie zasugerowałeś, i nawet nie oderwę oczu od wykopu — obiecał Lampert.

— No pewnie, i kiedy wrócę, ciebie diabli wezmą — odpowiedział przewodnik. — Musisz pilnować także i siebie samego, pamiętaj. Nie zatrzymuj oczu na niczym. Twój wzrok ma być cały czas w ruchu.

Skończył rozkładać małe cylindry po kieszeniach ubrania wierzchniego i ruszył we wskazanym przez Lamperta kierunku. Często oglądał się za siebie, ale za każdym razem widział, że naukowiec zachowuje czujność. Tak więc, gdy zarośla w końcu odcięły mu widok, nie przejmował się zbytnio.

Tak właściwie, to McLaughlin zadał sobie wiele trudu, by dżungle Viridis opisać jako bardziej niebezpiecznie niż były w rzeczywistości. Świadomym motywem tego, było sprawienie, aby niedoświadczeni członkowie grupy zachowywali dostateczną czujność, dla własnego bezpieczeństwa. Prawdą było, że w tych deszczowych lasach człowiek mógł zginąć na wiele różnych sposobów. Istniała jednak duża możliwość, że chciał im również nieco zaimponować, znaczeniem swoich usług.

Nie odczuwał więc zbytniego niepokoju podczas tej przechadzki, choć z drugiej strony także nie tracił czasu. Miał, oczywiście, tylko przybliżone pojęcie o odległości, jaką przebył, choć był w stanie utrzymać kierunek za pomocą małego kompasu impulsowego, dostrojonego do aparatury sejsmicznej i stanowiącego integralną część jej wyposażenia.

Postawił trzy cylindry, w wymaganych odstępach, tak blisko zalecanego umiejscowienia, jak tylko mógł to oszacować, wbijając każdy z nich nieco w ziemię, tak jak mu pokazał Lampert; następnie skrzył pod kątem prostym, przeszedł, jak miał nadzieję, właściwą odległość i ruszył z powrotem w kierunku placu wykopalisk, rozstawiając po drodze resztę sprzętu. Jeszcze jeden odbiornik na zewnątrz, jeszcze jeden na środku; i ostatnie z tuzina urządzeń znalazły się w ziemi.

Szpadel Mitsuitei wbijał się coraz głębiej.

Lampert, unosił wzrok i rozglądał się, co kilka sekund dokoła, dokonywał drobnych poprawek w kontrolkach aparatury sejsmicznej. Jego mały robot-kret rozpoczął już swoją podróż w dół.

Felodon czaił się trzydzieści jardów od miejsca, w którym stał Lampert, osłonięty przed jego wzrokiem przez podszycie i jedną ze stert ziemi wyrzuconych przez maszynę, która wykopała dół. Zdawało się, że patrzy przez ziemię na miejsce, w którym znajdował się mężczyzna. Na jego pysku nadal widniał grymas wściekłości, ale w długim ciele nie drgnął żaden mięsień. Stał tam od kilku minut bez ruchu; podobnie zamarł, gdy McLaughlin mijał go, odchodząc. Teraz po prostu stał i czekał.

Na klifach, kilka kilometrów dalej, Ndomi Sulewayo wypowiedział pierwsze przekleństwo, jakie Krendall usłyszał z jego ust. Znajdowali się po przeciwnych stronach bloku, w którym spoczywała skamielina, więc żaden z nich nie mógł widzieć drugiego. Krendall, naturalnie, spytał co się stało.

— Nie powiesz mi chyba, że jakiś robak przedostał ci się przez któreś z tych ubrań!

— Gorzej, jeśli to możliwe. Mówiłem ci, że ta przednia kończyna — obaj starannie unikali użycia takich słów jak „ręce” — wystawała w bok, tak że obawiałem się, iż mogliśmy odciąć jej część podczas kopania tunelu.

Krendall skinął głową.

— Pamiętam. Zrobiliśmy to?

— Nie wiem.

— Eh? Jak to możliwe? Można by pomyśleć, że nie powinno być wątpliwości w tę czy w tamtą stronę, jeśli masz oczyszczoną drugą część tej kończyny.

— No cóż, nie mam. Doszedłem aż do końca kości — i właśnie w tym miejscu skończył się tuf oraz wszedłem w wapień. Jeżeli jest tutaj coś jeszcze, to musiałoby się znajdować w zupełnie innym rodzaju skały, co jest mało prawdopodobne; ale będę musiał sprawdzić wszystkie bloki, które wycięliśmy w tej części tunelu, aby się co do tego upewnić. I wcale mi się ta praca nie uśmiecha.

Krendall, odpowiednio współczujący, podszedł na stronę Sulewayo, by spojrzeć na skamielinę, i zgodził się, że przeszukanie będzie konieczne. Kość, którą młodszy mężczyzna oczyścił, kończyła się stawem, który uznali za typowy dla kończyn tego stworzenia; i to prawie dokładnie na powierzchni skały, którą pozostawili, gdy najpierw obrysowywali blok piłą.

Sulewayo, stękając z obrzydzenia, zostawił swe narzędzia i wyszedł na deszcz, gdzie ułożone zostały bloki wycięte ze skalnego klifu; Krendall, szlachetnie poświęcając swoje osobiste chęci, poszedł razem z nim.

Poszukiwania trwały długo; zresztą jeszcze długo po tym, kiedy już stało się jasne, że będą bezcelowe, bo z szansy na doskonały okaz nie rezygnuje się łatwo. W końcu jednak Krendall wyprostował się z westchnieniem.

— Chyba będziemy musieli zadowolić się odtworzeniem go z jednej strony — powiedział znużony. — Mam nadzieję, że za pięćdziesiąt lat ktoś nie znajdzie tej drugiej części i nie odkryje, że jest to rodzaj kręgowego kraba, z jedną przednią kończyną zakończoną pazurami lub szponami, mniej więcej pięć razy większą, od tej z drugiej strony.

Sulewayo ponuro zgodził się z nim i obaj wrócili do pracy w swoich tunelach.

Lampert zobaczył McLaughlina, zraz jak tylko umożliwiły to zarośla, co, jak później przyznał przewodnik, było punktem dla naukowca. Oczywiście tamten z niecierpliwością wypatrywał jego powrotu, bo nadajnik znalazł

się już na pierwszej ustawionej głębokości, i Lampert czekał tylko na informację, że wszystkie odbiorniki są na swoim miejscu. Zawołał z niecierpliwością, gdy tylko przewodnik znalazł się w zasięgu głosu.

— Wszystkie rozstawione?

McLaughlin przytaknął.

— Wszystkie rozstawione, prawie tak jak mówiłeś, na ile mogłem to stwierdzić. Jak długo potrwać odczyty?

— Tylko przez parę minut. Wykonam kilka strzałów kalibracyjnych na głębokości dziesięciu, piętnastu i dwudziestu metrów; potem jeden na pięćdziesięciu, stu i tak dalej w dół, tak daleko jak tylko kret dosięgnie. Strzelanie nie wymaga praktycznie żadnego czasu. To wiercenie będzie trwało najdłużej.

— Co potem?

— No cóż — uśmiechnął się Lampert, — potem zwykła procedura polega na pozbieraniu wszystkich odbiorników i umieszczeniu ich w podobnym układzie w nowym kierunku. Jeśli załoga terenowa nie zastrajkuje, wykonujemy cały krąg wokół nadajnika.

— Obawiałem się czegoś takiego — chrząknął McLaughlin, zatrzymując się przy maszynie. — No to jedziemy.

Obaj mężczyźni pochylili się nad kontrolkami, w ciszy przerywanej jedynie skrobaniem szpadla Mitsuitei o kilkanaście metrów dalej. Lampert nacisnął przycisk odpalania, i lampka na panelu rozbłysła na chwilę na biało. Pod ich stopami, niewyczuwalny, impuls energii dźwiękowej popędził na zewnątrz od nadajnika, odbijając się echem od ścian głęboko wciskających się w skałę szczelin, od granic między skałami o różnych gęstościach lub współczynnikach sprężystości, od ścian jaskiń położonych głęboko w wapieniu; jakaś maleńka część tej energii od czasu do czasu napotykała na jeden z maleńkich odbiorników zakopanych przez McLaughlina i oddziaływała na niego.

Gdy każdy odbiornik zebrał swoją porcję danych, retransmitował informacje do jednostki głównej; w miarę upływu kolejnych milisekund wszystko było zapisywane na jednym arkuszu. Na długo przed upływem pełnej sekundy, pierwszy z impulsów rozpraszał się i wygasał, zmieniając się w energię ciepłą, a maszyna zebrała wystarczającą ilość danych, aby uzyskać odpowiedni zapis uśredniający. Światelko ponownie zamrugało. Lampert skinął głową z zadowoleniem i posłał kreta dalej w dół.

— Wygląda dobrze. Teraz następny zestaw — stwierdził.

W chwili, gdy rozszedł się impuls energii sejsmicznej, Felodon uniósł się na całą swoją wysokość, niemalże ukazując się ponad stertą ziemi, która stanowiła teraz jego jedyną ochronę przed dostrzeżeniem go przez ludzi. Grymas na jego twarzy wydawał się być obecnie jeszcze bardziej zacięty, jeśli to w ogóle było możliwe. Przez chwilę wyglądał, jakby był rozdarty między sprzecznymi pragnieniami. Ale to była tylko krótka chwila; każda chęć ucieczki była tłumiona, zanim zdążyła przybrać jakąś pełniejszą formę. Miał teraz dwóch mężczyzn, o których musiał się

martwić, i odpowiednio mniej szans na okazję, na którą czekał. Ale okazja jednak się nadarzyła. Dosłownie na króciutką chwilę przewodnik opuścił wzrok na panel, który pochłaniał całą uwagę Lamperta. W tym momencie zielono-lawendowa smuga jednym skokiem przeleciała nad stertą ziemi i zniknęła w dole. Działanie felodona musiało być synchronizowane w czasie i kierowane przez tajemniczy zmysł, o którym wspominał McLaughlin. Nie widział żadnego z mężczyzn, kiedy skakał, a mimo to trafił idealnie na moment, kiedy nikt ba niego nie patrzył, i wylądował prosto na Mitsuitei.

Mały archeolog nawet nie wiedział, co na niego spadło. Zginął bezgłośnie, a zabójca, jakby w okolicy nie było żadnych innych istot żywych, zasiadł do posiłku.

Musiał być nim bardzo rozczarowany. Chemikalia zawarte w ubraniu, mające odstraszać viridiańskie owady, były równie obrzydliwe dla drapieżnika i nie podjął on żadnej poważniejszej próby przedarcia się przez nie. Jednak nie wszystkie części ciała były chronione w ten sposób...

Z zagłębionego w ziemi nadajnika wyszedł drugi impuls, a potem trzeci, każdy z punktu położonego kilka metrów głębiej niż ostatni. Uwaga Lamperta, rzecz jasna, skupiona była na kontrolkach. Oczy McLaughlina ponownie niespokojnie przeczesywały krajobraz okolicy. Obaj słyszeli dźwięki dochodzące z szybu, ale żaden z nich nie interpretował ich jako czegoś więcej niż skrobanie szpadlem Mitsuitei. Żaden również, rzecz jasna, świadomie się nad nimi nie zastanawiał. Ich uwagę przykuło w końcu coś zdecydowanie bardziej łatwego do zauważenia.

Felodon nie pozostał – lub nie mógł pozostać nad swoim posiłkiem, dłużej niż kilka chwil. Jego pozorna obojętność wobec pozostałych ludzi ponownie zmieniła się w coś, co wyglądało na walkę wewnętrzną. Każdy kto by go obserwował, byłby pewien, że do tej pory używał on swojego szczególnego zmysłu, aby uniknąć pokazania się ludziom z bronią, ale obecnie hipoteza ta upadła.

Kiedy Lampert ponownie uruchomił robota, Felodon wyskoczył z wykopu i rzucił się w kierunku dwóch mężczyzn – nie zważając na to, że McLaughlin zwrócony był twarzą w jego stronę.

VIII

McLaughlin zobaczył wylaniający się łeb z potężnymi kłami, i jego refleks natychmiast wkroczył do akcji. Smuga płomienia przemknęła obok skaczącego drapieżnika, eksplodując w postaci rozżarzonego do białości kwiatu płonącego gazu, kiedy zetknęła się ze stertą ziemi po dalszej stronie wykopu. Przewodnik uchylił się i przeturlał szaleńczo na bok, gdy kolejny skok poniósł stwora w jego stronę. Pazury przecięły powietrze tuż obok jego ramienia, a on wystrzelił ponownie nie celując, zanim skończył się toczyć.

Ludzie i bestia zostali spryskani gorącymi kroplami roztopionego metalu z rejestratora sejsmicznego, gdy drugi strzał trafił go dokładnie w

sam środek; i to chyba wystarczyło drapieżnikowi. Jego następny skok został wykonany w stronę oddalającą go od ludzi, zamiast w ich kierunku. Gejzer pary i błota wybuchł tuż koło niego, gdy Lampert w końcu uruchomił swoją broń, ale zanim opary wystrzału zostały rozproszone przez deszcz, zwierzę zniknęło z pola widzenia, chowając się za zaroślami. Obaj mężczyźni oddali jeszcze kilka strzałów w kierunku trzasków w krzakach, ale nie osiągnęli nic poza ścięciem drzewa czy dwóch i wznieceniem ognia, który w ulewnym deszczu nie zdołał się rozprzestrzenić.

Przekonani, że felodon zniknął, mężczyźni podbiegli do wykopu. Lampert nie poświęcił nawet chwili, by rzucić okiem na resztki swojego sprzętu. Dystans do pokonania był wystarczająco duży, aby każdy z nich zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia jak długo drapieżnik był w środku i co mogły oznaczać te odgłosy „skrobania”. Obaj zwolnili, zbliżając się do krawędzi, z niechęcią nastawiając się na to, co spodziewali się zobaczyć. Ale widok który się przed nimi pojawił, nie był taki jakiego się spodziewali. Twarz McLaughlina, i tak już ponura, wręcz poszarzała, gdy zobaczył, że jego pierwszy strzał nie tylko nie trafił w zwierzę, w które był wycelowany.

Wyładowanie uderzyło w stertę ziemi pozostawioną przez maszyny kopiące na skraju szybu i rozrzuciło większość niej na cztery wiatry. Być może pół tony materiału ziemnego zsunęło się z powrotem do wykopu, z którego zostało wyciągnięte. Z góry nie było widać, co Felodon zrobił z Mitsuitei. Górna połowa ciała archeologa była całkowicie zasypana, a reszta tak obficie obsypana ziemią, że nie dało jej się od razu rozpoznać.

Przewodnik, posługując się językiem obcym nawet dla obytego w podróżach Lamperta, zeskoczył trzy metry w dół, nie zawracając sobie głowy drabiną, chwycił wystającą nogę i próbował wyciągnąć małego człowieczka z ziemi. Lampert, równie świadom możliwego znaczenia upływu czasu, ale czując że ze złamaną nogą na niewiele się zda, zaczął schodzić w normalny sposób.

Gdy dotarł na dno, McLaughlin zdołał już prawie całkowicie wyciągnąć Mitsuitei. Lampert ruszył naprzód, by usunąć błoto z wciąż zakrytej twarzy; wtem zatrzymał się, a jego żołądek gwałtownie się unióś, gdy zdał sobie sprawę, że twarz nie była zakryta.

Jej już nie było.

Mitsuitei zdjął nakrycie głowy i rękawice swojego kombinezonu ochronnego, z normalnego powodu – aby lepiej widzieć i manipulować szpadlem. Odsłonięta głowa i ręce stały się celem pośpiesznego posiłku felodona.

Tym razem paleontolodzy zauważyli zbliżający się helikopter, gdyż pracowali poza tunelem. Pomiędzy nimi, na półce skalnej, leżał blok kamienia o długości około pięciu stóp, dwóch wysokości i czterech szerokości – w sumie ponad dwie tony materiału – który został dosyć pomysłowo wydobyty z otworu przez obu mężczyzn. Wykonali częściowe pocięcie, pod spodem umieścili wałki obrobione wycinarką z kamienia, i

dokończono podcięcie wzdłuż płaszczyzny, która lekko wznosiła się, prowadząc do tunelu. Oczywiście blok zjechał z wałków, gdy tylko znalazł się na otwartej przestrzeni, a ludzie nie mogli go przesunąć nawet o kolejny centymetr, tak jak nie mogliby wrócić do Emeraude bez helikoptera; ale przynajmniej było możliwe aby zabrać go drogą powietrzną. Właśnie odłupywali zbędne kawałki skały z narożników, gdy pojawił się śmigłowiec.

Sulewayo wszedł po drabinie jako pierwszy, tym razem bez obciążenia. Spodziewali się, że będą jeszcze potrzebowali piły. Zauważył, że Lampert jest sam w maszynie, i natychmiast zadał pytanie, którego geofizyk się obawiał.

— Gdzie jest Take? Znaleźliśmy coś dla niego!

— Obawiam się, że nie będzie mógł tego docenić. Kilka godzin temu zabił go felodon.

Wiadomość ta zamknęła usta nawet Sulewayo, a wyraz twarzy młodszego kolegi naprawdę zaskoczył Krendalla, gdy ten wszedł przez właz.

— Ndomi! Co się...

Lampert przerwał mu, powtarzając tę samą wiadomość, którą przekazał chwilę wcześniej. Krendall zareagował podobnie, po czym powoli opadł na fotel.

Nie pytał o szczegóły. Obaj mężczyźni widzieli, że to nie czas na zadawanie takich pytań pilotowi, choć żaden z nich nie zdawał sobie wtedy sprawy z osobistej odpowiedzialności, jaką Lampert czuł w związku z tym wypadkiem. Krendall wyciągnął z kieszeni niewielki fragment tufu i przyjrzał mu się w zamyśleniu.

Nie padło ani słowo więcej, dopóki helikopter nie wylądował ponownie na rzece w pobliżu „miasta”. McLaughlin i tobołek, w którym znajdowało się to, co pozostało z Takehiko Mitsuitei, czekali na brzegu i bez słowa zostali zabrani na pokład.

— Jest jeszcze wcześniej. Zabierzemy go dziś do Emeraude, a jutro wrócicie do swojej pracy — powiedział Lampert i wzbił się w powietrze, nie czekając na zgodę.

— Tak — odparł Krendall, — natychmiast, jak tylko przylecimy z powrotem. Nie sądzę, by chciał, abyśmy się zatrzymali. Mam zamiar też dowiedzieć się czegoś o tych jego zielonych nitkach.

Lampert skinął głową z aprobatą. On sam powziął już podobne postanowienie. Przez pół godziny lecieli w milczeniu.

Felodon, do połowy zanurzony w bagiennej wodzie, kilometr w dół rzeki od wzgórza, usłyszał nad głową szum helikoptera. Wydawał się zupełnie niezainteresowany. Przez chwilę jego kły skierowane były ku górze, po czym z powrotem opadły. Pod szczęką miał oparzenie, które spowodował metal rozpryskujący się ze zniszczonej aparatury sejsmicznej. Czuł się lepiej trzymając je pod wodą...

— Co takiego znalazłeś, Ndomi, że myślałeś, iż Take będzie chciał to zobaczyć? — Lampert przerwał długą ciszę.

— Znalazłem to wtedy, gdy podcinał się blok, by wydobyć go z tunelu — odparł Sulewayo. — Jeszcze kilka kolejnych tych jego zielonych nici, w

tufie poniżej skamieliny. Zabrałem kawałek skały żeby mu je pokazać – mam go tutaj.

Lampert przytaknął, nie odrywając swojej uwagi od pilotowania.

— Może ta twoja skamielina była mimo wszystko inteligentną istotą – powiedział. — Wygląda na to, że zginęła w bardzo podobnych okolicznościach co Take – tuż nad zestawem tych zielonych nici. Może to był członek wyprawy takiej jak nasza.

— Być może. Z pewnością chodził wyprostowany. Cała budowa jego ciała na to wskazuje. Gdyby miał wystarczająco duży mózg i posiadał kończyny zdolne do manipulacji, powiedziałbym, że był to praktycznie człowiek, jeśli chodzi o możliwości. Z anatomicznego punktu widzenia, oczywiście, był bardziej podobny do płaza.

— Wyciągnęliście blok na otwartą przestrzeń. Czy nie udało wam się zbadać głowy i kończyn?

— Nie, do cholery. — Krendall przejął pałeczkę od swojego młodszego kolegi. — To było największe rozczarowanie całego tego znaleziska. Okaz wydaje się być idealny z wyjątkiem brakującej czaszki i rąk. Po żadnym z tych organów, nie ma nawet śladu.

Helikopter zafalował lekko w trakcie lotu, po czym ustabilizował go, gdy Lampert zmusił swoją uwagę z powrotem do koncentracji na pracy pilota. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił, ale wszyscy byli pogrążeni w myślach.

Ktoś inny również myślał, ale nie zatrzymywał swoich myśli dla siebie. Były one wypowiedane, i praktycznie ociekały wściekłością myślącego.

— Wy niechlujne, leniwe pasożyty! Nie przejmuję się aż tak bardzo, że utknęliśmy z robotą i z terminem, nawet jeśli chodzi o raport, który ma być gotowy za jedyne pięćdziesiąt lat, a potrzebne około dwustu, na opracowanie prawdziwych konkluzji. Prędzej zrobię to zupełnie sam, niż miałbym pozwolić wtrącać aby się do tego, tacy leniwo myślący, jak wy! Ale jeśli mam mu poświęcić całą swoją uwagę, aby stworzyć coś, co nie stanie się obiektem pośmiewiska stąd aż do Obłoków Magellana, to może niektórzy z was zajmą się obserwacją tego, co się dzieje na tej planecie? Nawet nie wiedziałem, że te stwory tutaj wężą, zanim nie zaczęły przecinać linii sensorów! Trzydziestko, ochronne formy życia, które wyhodowaliśmy na powierzchni, to był twój pomysł; dlaczego nie zmusiłeś ich do roboty?

Słowa odpowiedzi starały się, by brzmieć łagodząco.

— Trzydziestka pracował...

— Śniąc na jawie, chciałeś powiedzieć!

— Ale uruchomiłem jednego ze strażników aby zajął się swoją pracą; to zatrzymało kopanie, prawda?

— Pewnie, po tym jak zostało już wyrządzonych całe mnóstwo szkód. Czy może ty chcesz wyjść na zewnątrz i naprawić moje okablowanie – mając na karku tych kosmicznych podróżników wężących w okolicy? Jeśli cię przy tym nakryją, Rada nie będzie się z nas śmiała; ekskomunikuje

nas i pozwoli temu nowemu gatunkowi inteligencji aby start nas z powierzchni. Dlaczego tak długo trwało, zanim strażnik cokolwiek zrobił?

— No cóż, ja...

— No cóż, ty marzyłeś o niebieskich migdałach, co? Do diabła, jesteś tu po to, aby konstruktywnie myśleć, a nie tylko się zabawiać. Nie masz żadnego szacunku dla siebie? Oni naprawdę wykopali Szesnastkę!

— A co to zmienia? On już jest zbyt długo martwy, żeby mu to przeszkadzało, a poza tym jego mózg i połączenia sensoryczne były solidnie wypalone.

— Ale nie musieliby kopać dużo głębiej, żeby dostać kogoś, kto nie jest martwy, prawda, Dziewięćdziesiąt Pięć, mój młody przyjacielu? Przypuszczam, że kiedy przecięli jeden lub dwa z twoich sensorów, zdecydowałeś, że czas coś zrobić. Nie przerywaj mi! Teraz ja mówię! Ta planeta ma być spokojnym miejscem, gdzie ludzie mogą spędzić przyzwoitą liczbę wieków na rozmyślaniu, nie będąc niepokojonym przez nikogo. Jeśli jesteś za młody, za leniwy lub po prostu za głupi, by samemu myśleć, to przynajmniej możesz poświęcić odrobinę czasu ze swoich rozlicznych rozrywek, aby zapewnić że inni ludzie będą mogli to robić. Zamknij się! Zaczynasz teraz myśleć albo znajdziesz się w prawdziwych tarapatach! Oto problem, który musisz rozwiązać, i dopilnuj żeby to zrobić!

— Zorganizujesz naprawę moich sensorów, upewniając się nie tylko, że nie zostaniesz przyłapany na tej robocie przez tych kosmicznych podróżników, ale także że nie zorientują się oni, iż to w ogóle zostało zrobione. Innymi słowy, po tym jak skończysz swoją pracę, masz nie tylko starannie wypełnić dziurę, którą zrobili, tak aby nie mogli się dowiedzieć, że nie są jedynymi istotami inteligentnymi na tym świecie. Tak jak i ty nie wiem, kiedy oni wrócą, a więc sam musisz odgadnąć, ile masz czasu na swoją pracę. Możesz zabezpieczyć swój kanion osuwiskami lub czymkolwiek innym, aby nie dać się wykopać, ale jeśli zawiedziesz przy rozwiązywaniu któregoś z tych problemów i ktoś z nas zostanie znaleziony, gwarantuję ci, że znajdziesz się w takim samym stanie jak Szesnastka. A teraz bierz się do roboty i daj mi pomyśleć. Jeśli uważasz, że uda ci się uzyskać pomoc lub współczucie od kogokolwiek innego na tej planecie, to życzę ci powodzenia.

Fala zgody rozeszła się wzdłuż niezliczonych mil okablowania sensorów ciągnącego się przez skorupę Viridis, ale Dwadzieścia Pięć nie czuł już ani nie słyszał tego. Zdążył już oderwać niezliczoną liczbę wypustek kończących jego ręce, od mozaikowej konsoli, która stanowiła końcówkę dla ogromnych wiązek zielonkawych nici biegnących przez ściany jego jaskini, i usadowił się z powrotem w swoim fotelu. Ten raport – miał tylko pięćdziesiąt lat, aby go przemyśleć - cała jego uwaga skupiła się wyłącznie na nim.

KONIEC